



BOZE NARODZENIE 1944.

WYBOR TEKSTOW.

POMOC JEŃCOM WOJENNY

„Y.M.C.A.”

GENEWIE.

BOZE NARODZENIE 1944.

WYBOR TEKSTOW.

POMOC JEŃCOM WOJEDDY

"Y.M.C.A."

GENEWIE.



SPIS TREŚCI

I. CZĘŚĆ LITURGICZNA.

| | Str. |
|--|------|
| 1. Msza św. z komentarzem | 5 |
| 2. Modlitwy przed i po Komunii św. | 6 |

II. OPOWIEŚCI CHRYSZTUSOWE.

| | |
|---|----|
| 1. Wysłaniec Boga | 9 |
| 2. Modlitwa | 11 |
| 3. U progu życia | 13 |
| 4. Choinka | 15 |
| 5. Hołd | 17 |
| 6. Śmierć Św. Stanisława Kostki | 19 |
| 7. W Jerusalem | 21 |
| 8. Wszedłem szukać... | 23 |
| 9. Nad Jordanem | 25 |
| 10. Niema na ziemi | 27 |
| 11. O Radości | 29 |

III. KILKA MYŚLI NA CZASIE.

| | |
|---|----|
| 1. Przez Pana naszego, Chrystusa | 31 |
| 2. Nadzieja śpiewa | 33 |
| 3. O Prostocie Bożej | 35 |
| 4. Styczeń | 39 |
| 5. Luty | 41 |
| 6. Dobroć Boża we wcieleniu | 43 |
| 7. Marzec | 47 |
| 8. Kwiecień | 49 |
| 9. O zwyczajności | 51 |
| 10. Prawda | 55 |
| 11. Kamieniu szary | 57 |
| 12. Największe i pierwsze przykazanie | 59 |



1.992835

IV. BOŻE NARODZENIE NA TLE WSI.

| | Str. |
|--|------|
| 1. Zima | 61 |
| 2. Wigilja polokim we dworze | 65 |
| 3. Kolenda — tekst i wiersze | 67 |
| 4. Napad dzików na wieś w górach | 71 |
| 5. Matka (polowanie na rysie) | 73 |
| 6. Sonet do Matki | 77 |
| 7. Przerwana pieśń (polowanie na głuszcze) | 79 |
| 8. Wróbel | 83 |
| 9. Pieśń | 85 |
| 10. Przysłowia myśliwskie | 87 |
| 11. Pieśń myśliwska | 89 |
| 12. Wieczory zimowe w dawnych czasach | 91 |
| 13. Kolenda | 93 |

V. BETLEJKA WILEŃSKA 95

BOŻE NARODZENIE

I. CZEŚĆ LITURGICZNA

1. Msza św.

« Słowo ciałem się stało i mieszkało między nami. »

Cel dzisiejszego nabożeństwa jest potrójny: Pierwsze, złożyć Panu Jezusowi hołd uwielbienia jako prawdziwemu Bogu w jego odwiecznym narodzeniu, się w łonie Ojca, co przypomina nam dzisiaj we mszy św.,

INTROIT.

Pan rzekł do mnie: Synem moim jesteś Ty: Jam dziś zrodził Ciebie. Czemu burzą się narody, ludy knują rzeczy próżne? Chwała Ojcu i Synowi, itd.

KOLEKTA.

Boże, któryś tę noc przeniąjąszą prawdziwym światłem rozjaśnił spraw, pokornie Cię prosimy, abyśmy, poznając tej światłości tajemnicę na ziemi, w niebie cieszyli się nią na wieki. Który z Tobą, itd.

LEKCJA.

Najmilszy! Okazała się łaska Boga, zbawiciela naszego, wszystkim ludziom i naucza nas, abyśmy, odrzekłszy się bezbożności i żądź światowych, trzeźwie i sprawiedliwie i pobożnie żyli na tym świecie, oczekując błogosławionej nadziei i przyjścia chwały wielkiego Boga i Zbawiciela naszego Jezusa Chrystusa, który wydał, samego Siebie za nas, aby nas wykupić od wszelkiej nieprawości, i przygotował sobiena własność lud czysty, dobrych uczynków pilnujący. Tak mów i napominaj w Jezusie Chrystusie Panu naszym. Dziękuj Ci Boże.

GRADUAL.

Przy Tobie panowanie w dniu mocy Twojej: w jasności Świętych z łona przed jutrzienką zrodziłem Ciebie. Alleluja, Pan rzekł do Mnie: Synem Moim jesteś Ty, ja dziś zrodziłem Ciebie. Alleluja.

drugie złożyć Panu Jezusowi hołd uwielbienia jako prawdziwemu człowiekowi, w stajence Betlejmskiej z Najś. Marii Panny za sprawą Ducha św. Narodzonemu, gdzie już jako Dzieciątko uczy on nas pokory, posłuszeństwa i ubóstwa, uwinięty w pieluszki i złożony w żłobie na sianie.

EWANGELJA (Łuk. 2).

Onego czasu — wyszedł dekret od cesarza Augusta, aby spisano cały świat. Ten pierwszy spis dokonany został przez starostę Syryjskiego, Cyryna. I szli wszyscy, aby się dać zapisać, każdy do miasta swego. Poszedł też i Józef z Galilei, z miasta Nazaret, do Judzkiej ziemi, do miasta Dawidowego, które zowią Betlejem: dlatego, że był z domu i pokolenia Dawidowego, aby dać się zapisać z Maryją, poślubioną sobie małżonką, brzemienią. I stało się gdy tam byli, wypełniły się dni, aby porodziła. I porodziła Syna swego pierworodnego, a uwinęła go w pieluszki i położyła Go w żłobie, bo nie było im miejsca w gospodzie. A byli w tej krainie pasterze, czuwający i trzymający nocną straż przy trzodzie swojej. A oto Anioł Pański stanął przy nich, a jasność Boża zewsząd ich oświeciła i zlekli się bojaźnią wielką. I rzekł im Anioł: Nie bójcie się bo oto opowiadam wam wesele wielkie, które będzie wszystkim ludowi, bo się dziś narodził Zbawiciel, który jest Chrystus Pan, w mieście Dawidowym. A ten wam znak: znajdziecie niemowlę owinięte w pieluszki i położone w żłobie. A natychmiast było z Aniołem mnóstwo wojska niebieskiego, wielbiąc Boga i mówiąc: Chwała na wysokościach Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli.

I po trzecie uprzytomnić sobie i wprowadzić Dzieciątko Jezus do duszy naszej, aby i tam się ono nam narodziło przez duchową łączność z nami nie tylko w Komunii św. ale i w mistycznym Ciele swoim, tj., w Kościele św. katolickim. Do tego Kościoła św. należymy i w nim wszystkie tajemnice łaski i życia Chrystusa Pana przeżywamy od radości z nim w stajence Betlejemskiej przy jego ziemskim narodzeniu się, po przez umartwienie i post i mękę i Kalwarię i śmierć na krzyżu, aż do chwalebego Zmartwychwstania, Wniebowstąpienia i zrealizowania w nas nauki z przykładu jego i aż do upodobnienia się do Niego przez to i na ziemi, i w niebie. Na to Pan Jezus w stajence Betlejemskiej nam się narodził. Przypomnijmy sobie to dzisiaj.

OFERTORJUM.

Niech się weselą niebios, a niech się raduje ziemia przed obliczem Pana, że przyszedł.

SEKRETA.

Przyjmij, Panie, łaskawie ofiarę, którą Ci przy dzisiejszej uroczystości składamy, i spraw łaską Twoją, byśmy przez tę świętą i tajemniczą łączność z Tobą, stali się podobnymi Temu, w którym natura nasza z Tobą się zespoliła. Który z Tobą żyje, itd.

KOMUNJA.

W jasnościach Świętych z łona, przed jutrzenką zrodziłem Ciebie.

MODLITWA PO KOMUNJI.

Daj nam, prosimy Cię Panie, Boże nasz, abyśmy, radując się z tajemnicy Narodzenia Pana naszego Jezusa Chrystusa, przez godne z Nim obcowanie do szczęśliwości wiecznej dojsć zasłużyli. Który z Tobą żyje, itd.

PRZED KOMUNJĄ ŚW.

Maryjo, Matko moja Tobie dzięki najserdeczniejsze składam, bo jak wszystkie łaski, tak i te, jakiej dziś dostępuję przed przyjęciem Jezusa Chrystusa do serca mego, Twojemu miłościwemu pośrednictwu zawdzięczam. Uciekam się do Twojego orędownictwa, i błagam Cię, ażebyś raczyła być ze mną i ze wszystkimi, którzy przystępują dziś do Komunii św.

Tyś o Maryjo, przyjęła pierwsza Syna Bożego do macierzyńskiego serca swojego. Tyś go złożyła w ubogim żłobeczku w dniu Bożego Narodzenia w stajnie Betlejemskiej.

Powiedz Mu że pragnę być twoim dzieckiem i służyć Tobie; w ten sposób Jezus będzie spoglądał na mnie z miłosierdziem i gdy przyjdzie do serca mego napelni mnie większą gorliwością do Swego Serca Jezusowego. Amen.

O Jezu, dozwól mi tak przyjąć dzisiaj Ciało Syna Twego Jenorodzonego, Pana naszego Jezusa Chrystusa, abym stał się raz na zawsze włącznym w Ciało Jego mistyczne i godnym ujrzeć Cię po śmierci w niebie przez tegoż Syna Twojego Najmilszego Jezusa Chrystusa, który z Tobą i Duchem św. żyje i króluje Bóg na wieki wieków. Amen.

PO KOMUNII.

O dobry Jezu, z wdzięczności za wszystkie dobrodziejstwa Twoje i z żalem, żem tak często ich nadużywał, pragnę Ci dzisiaj zadosyć uczynić i przeprosić Cię. Wysłuchaj, przeto, o Zbawco litościwy dusz naszych, wysłuchaj nasze te akta wiary i nasz głęboki żal za zniewagi wyrządzone Tobie.

Za wszystkie nieuszanowania i zniewagi, jakie ponosisz w Przenajświętszym Sakramencie od ludzi, którzy Cię znają, albo znając tak jak należy nie kochają — Przepraszam Cię o Panie.

Za wszystkie bluźnierstwa i obelgi, jakie ponosisz od pogan i niedowiarków — Przepraszam Cię o Panie.

Za wszystkie świętokractwa i nieuszanowania popełnione w kościołach naszych przez innowierców i katolików. — Przepraszam Cię Panie.

Za wszystkie zaniedbania i brak współdziałania z łaską Twoją świętą ze strony ludzi. Przepraszam Cię o Panie.

Za grzechy pychy i zmysłowości, oraz za wszystkie inne grzechy całego życia naszego. — Pszepraszam Cię o Panie.

Za zły przykład dany przez nas bliźniemu i spowodowanie przezeń grzechy cudze. — Przepraszam Cię o Panie.

Moja Królowo, moja Matko, oddaje się cały Tobie, i aby okazać moje nabożenstwo do Ciebie, poświęcam tobie dzień dzisiejszy, moje oczy, uszy, usta, serce i ciało moje. Dlatego że całkowicie oddałem się pod twoją opiekę, o dobra Matko moja, broń mnie i strzeż mnie jako twoją własność (100 dni odpustu).

II. OPOWIEŚCI CHRYSZTUSOWE

1. WYSLANIEC BOGA

Za wzgórzami Galilei rozpala niebo pierwszy blask świtu.

W głuchą, otchłanną tajemnicę nocy... wzdiera się błysk słońca i przesyca mrok perłowymi od wschodu plonącemu tonami.

Światło na szczytach potęguje mrok w dolinachowiecznym prawem kontrastu... to cienie zdają się kupić do walki...

Zmagają się dwie potęgi.

Przecucie? dnia rozchyła kwiatów kielichy... w przestrzeni wonie się ożywcze snują, pachną zroszonych traw kobierce.

Ustępują cienie... cofają się... kryją w wilgotnej głębi lasów, w ulicach miast, w przepaściach parowów... do ziemi lgną... wsiąkają w nią... pomiędzy świat a wszechwładzę świata, rzucając ostatnią straż swoją... welony niskiej, kłębiącej się mgły...

W małej komnatce podniosła się postać, jak biały duch przesunęła się wśród mroków izdebki i w szarym łuku arkady osunęła się na kolana.

«Panie, Panie, kiedy rozpalisz zorzę świtu w mrokach świata... w otchłaniach ludzkich dusz... Kiedy obietnica Twoja się wypełni... a światło Twej chwały zmusi do ustąpienia cienie mroku przesycający świat cały... Kiedy Panie, kiedy?»

W powietrzu płynął jej szept i stawał się wołaniem pełnym tęsknoty gorącej, bezmiernej, świat cały obejmującej miłości?

«Kiedy... Panie? Kiedy?»

Tonęły w mgłach okolice Nazaretu, w niskich złotem słońca przesyconych mgłach.

Jak dusze ludzkie w mgłach nieświadomości... jak cały świat w mgłach winy.

I oto... przez mgły przedarł się zwycięsko pierwszy promień słoneczny i objął pełnią światła kłęzącą w łuku arkady postać dziewczęcą.

«O Panie, w mrokach zła tułający się Izrael tęskni do łaski Twojej... Jak zbłąkany w pustyni wędrowiec spalonymi gorączką wargami o wodę błaga i w snach nawet źródło upragnione widzi... tak i naród Twój nie wiedząc o tem nawet, o Tobie marzy i czeka znaku łaski Twojej... Dusze narodu Twego wybranego... całego świata dusze... ratuj... ratuj Panie.»

Co dnia o świcie, ta sama modlitwa zrywała się z jej ust, kołatała do bram nieba, z wytrwałą siłą olbrzymiej tęsknoty i miłości wielkiej, zapominając dla innych o sobie.

I słuchał Pan...

I słuchał, słuchał Pan, a gniew sędziego ustępował miłości Stwórcy.

I oto przed szeroko rozwartymi oczyma Marii zarysowała się w poświacie słonecznej jasna, postać anioła, głos jego niósł pozdrowienie Pana duszy wybranej.

«Bądź pozdrowiona łaską udarowana, Pan jest z tobą... błogosławionaś ty między niewiastami.»

«Nie bój się Marjo... znalazłaś łaskę u Boga.»

«Oto poczniesz w żywocie i porodzisz syna, a nazwiesz imię Jego Jezus... a wielkim On będzie i Synem Najwyższego zwany... i da mu Pan Bóg stolicę Dawida ojca Jego... I będzie królował nad domem Jakóbowym na wieki, a królestwu Jego nie będzie końca.»

Chyląc głowę z poddańczą pokorą Marja odrzekła:
«Otom ja służebnica Pańska, niechaj się stanie według słowa twego.»
Nazaret się budził... świeciły w odblasku domki białe, z ołtarzów świątynicy wzniosły się pierwsze dymy ofiarne ku błękitowi nieba.
Nazaret się budził... jak co dnia gwar przepelniał powietrze, płynęły nawoływania, dźwięczały dzwonki pędzonych na paszę trzód.
W olendrowych gajach rozbrzmiewały słowicze chóry.
W cichej izdebce, klęczała jeszcze Marja pogrążona w modlitwie.

2. MODLITWA

Panie, który mnie ciszą poisz i karmisz błękitem,
I gwiazdy mi otrząsasz, księżycy z jabłoni,
I Twój wieczór mi dobry dobrą łąką dzwoni,
I niebem gwiazdy nocą przesiewasz, jak sitem —

O, zabierz z słów mych smętnych, jak sznur ptaków lotnych
Tę tęsknotę błękitną i marzeń mych męstwo,
Oczu — zwątpienie wieczne i ludzkie — wilgotnych,
Wszak, Panie, z tego świata jest moje królestwo.

Odsuń odemnie źrenic Twych ogień i morze,
Ogień, co pali, morze, co chłodzi w ukryciu, —
O, zatop nim głębiny, w którą schodzą zorze,
I, jak duszę miłości, tak mnie wydaj życiu.

* * *

Jak dłutem, słowa wykuwam w marmurze
By kształt miały chłodny a połysk gorący
Rytmem miarowym, jak metal dzwoniącym
Opadał zwolna i wznosił ku górze.

Cisza jest w sercu mojem, jak w naturze,
Żeś mnie odbiegła jak wicher szarpiący,
Każąc mi pierwej być tkliwym, wierzącym
I wzrokiem czujnym wciąż przeczuwać burzę,

Spójrz, oto ranek gasi gwiazdy czule
I noc odpływa na drugą półkulę,
Jedna jest miłość na ziemi i w niebie.

Jak tarczą, piersią kryjąc serce w blaskach,
Nim je śmierć czarna o błękit potrzaska —
Piersią błękitu, sercem łąknę Ciebie.

3. U PROGU ŻYCIA

Gościńcem prowadzącym do Betleem, wśród ciemnej, żywej zieleni uprawnych pól, zdązał mężczyzna w sile wieku, z długą po pas brodą, wiodąc za uździennicę osiołka, na którego grzbiecie rysowała się szarą sylwetką postać kobieca.

Znać daleką drogę mieli już poza sobą, bo wyraziste rysy mężczyzny zaostrzyło znużenie, do zniszczonych sandałów przyłgnało błoto, a sierść zwierzęcia lepila się potem i pyłem. Od czasu do czasu dreszcz znużenia wstrząsał osiołkiem: wtedy z szarych chust wysuwała się ręka i głaskała kark zwierzęcia.

Betleem! — wyrwało się okrzykiem radosnym z piersi Józefa — Nareszcie...!

Józef, zatrzymał osiołka na pustym placu: dokoła panował mrok, snuły się cienie. Na twarzy Józefa znać było głęboką troskę... Noc słała się dokoła coraz ciemniejsza, ogarniając wszystko mrokiem szarym.

Beznadziejnie ciemno jest — szeptał Józef.

Zatrzymali się przed grotą, wejście jej zasłaniały bluszczów sploty i dzikich róż pęcze. Wiekowe drzewo cedrowe gwarzyło jakąś baśń bez końca, za każdym wiatru powiewem. Błady błysk ogniska przedzierał się nazewnątrz, a dym smolnych szczap snuł się w przestrzeni.

Marja zsiadła z grzbietu osiołka.

— Najbiedniejsi z biednych nie odmówią gościny Panu, który dla nich przychodzi.

Porwali się pasterze. Dwóch ich było, starzec w baranich skór okryciu i młodzieniec o postaci olbrzyma i pogodnej, dziecięcej twarzy. Z podziwem niemy zawisły jego źrenice na bladej, cudnej twarzyczce Marji.

Starzec bez wahania dłonią ognisko wskazał zapraszającym gestem.

— Psia pogoda!... Przemokliście!... Zawsze lepiej nocować w grocie jak na dworze... Usiądźcie...

Rzucił się młody, derki przyniósł, rozesał przy ognisku baranice, a przed Marją rozłożył skromne zapasy chleba i sera owczego duży, biały płat.

Starzec z pod oka patrzył na znużoną twarz Józefa, przywiązanego osiołka do szeregu żłobów.

— Przenocujemy przy trzodzie w polu...

— Bóg z wami... za gościnę... gościną odplaci — siedł za wychodzącymi szept Marji.

Zdaleka błyskało ognisko pasterza, czuwającego nad trzodą. Rozpalili ogień trochę bliżej i starzec zasnął niedługo, młody dłonie na kolanach wsparł, patrzył w zlocący się wdali otwór groty... czuwał.

Pierwszy raz sen uciekał od powiek...

Aż w blasku gwiazdy zobaczył Natanel zjaw twarze, mgliste, zjawiskowe kształty postaci wielu, wielu. Wszechświat przepelniały głosy:

« Chwała Bogu na wysokościach, a pokój ludziom dobrej woli na ziemi. »

Opalona dłoń spadła na ramię starca.

— To tam ojciec... to w grocie... To Bogu daliśmy gościnę... — rwało mu się w piersi, podczas gdy drżącymi rękoma zbierał dery rozrzucone... Pójdźmy ojciec... może tam Panu zimno, może pomocy tam potrzeba.

Czekaj chwilę, — starzec wdał posłał wołanie, od dalekiego ogniska odpowiedziały głosy... — Widzisz, utoczyć trza od białki mleka ciepłego świeżuteńkiego.

W chwilę potem szli wszyscy... każdy coś niósł, wysokie rosłe postacie z jagnięcą skórą u ramion sunęły ku grocie, na opalonych twarzach było dziecięce zaleknienie...

W otworze groty wstrzymali się zdjęci nieśmiałością wielką, nad złobem narzuconym słomą... chyliła się matka, kładąc maleńkie dzieciątko w głąb...

Osunęli się na kolana u progu... a serca ich witały Boga u progu życia... dając Mu w darze wszystko, co zawierały ich szalasy biedne i serca bogate.

4. CHOINKA

Chelpiła się Choinka od cacek błyszcząca,
jaśniejąca świecami, pełna barw tysiąca:
« Czym nie jest w blaskach moich jaśniejsza od słońca?
wiszą na mnie tęczowe nici, srebrne kule...
kolorowe girlandy, anioły i króle...
Nie znam co to mróz, śniegi, wichury i bóle...
Wiszą na mnie orzechy, cukry i lakocie...
Stoję... niczem królowa — we srebrze i złocie...
Stańcie przy mnie Wy, które giniecie w tęsknocie...
Patrzcie i podziwiajcie mój los uśmiechnięty...
Koło mnie jest raj szczęścia, kraj cudów zaklęty...
A pode mną prezenty, prezenty, prezenty... »
Odrzekła jej choinka ośnieżona z boru:
« Nie zazdrozczę Ci złota twego, ni splendoru...
Mróz ni zimno nie psują mi nigdy humoru!
Śnieg mój białym swym puchem otula mię czule,
śnieg mój ma barwniejsze tęcze, niż Twe kule...
Mój mróz iskrzy się w słońcu promienniej niż króle...
Niechaj leszczynę zdobi rój złotych orzechów!
Świece nie zaćmią nigdy słońca na błękiecie!...
Jednego Ci zazdrozczę: dziecięcych uśmiechów,
mimo, że te uśmiechy kosztują Cię — życie... »

5. HOLD

W drodze, wiodącej przez piaszczyste zwały i kamieniste, smutne wzgórza arabsko-syryjskiej pustyni, połączyła się wspaniała karawana indyjsko-partyjskiego księcia z małą i skromną Baltazara, Baalowego kapłana.

Zbliżyły ich trudy podróży dokonywanej, wspólność celu i poprzedzającej go ofiary... bo każdy z nich wiedział, co porzucił, a nie wiedział, do czego powróci.

Przebyli wreszcie Jordan i szli wśród smutnych, w porze deszczowej mgłami spowitych gór Judei, noce bywały tak chłodne, że roślinność i skały bielili szron.

Judea kwitnie — uśmiechnął się wtedy Gathaspar.

Jeruzalem...

Gdy jednak dochodzili do smutnej, mrocznej doliny Józefata, gdzie wezbrany Cedron szumiał głucho... gwiazda zagasła nagle, jakgdyby zdmuchnięta lampa.

Spotkały się zdumione spojrzenia Magów.

— Czyżby miejscem urodzenia jego było Jeruzalem — pytał wstrzymując bieg wielbłąda Gathaspar.

— Nie Judei, ale całego świata to władca szeptał Baltazar.

* * *

Dojechawszy za miasto dojrzeli znowu gwiazdę i szli za jej blaskiem łagodnym. Lęk i chłód, który padł w ich dusze od ponurych murów Jerozolimy, zgłuszyła radość.

Noc była, gdy za światłem gwiazdy przybyli w okolice Betleemu, na jego wschodnim wzgórzu dojrzeli ją nieruchomą, zlewającą pełń blasku na grotę w polu.

Zsiedli tedy z wielbłądów i wzięwszy w dłonie dary swoje: złoto, kadzidło i mirrę szli polami.

Szli... a płaszcze ich długie zbierały z kwiatów rosę srebrzystą... a dusze ich modliły się zgodnie do Jedyne go, Wszechmocnego Boga.

Mesjasz... — szepnął Melchjor, niosący kadzidło — więc królestwo Jego nie z tego świata.

To Zbawiciel świata całego... władca dusz... w duszach królowanie Jego — uzupełnił wpatrzony w mirrę, którą niósł Baltazar.

Doszli do groty, do wnętrza się wsunęli i uklękli.

— Nie uznał Cię kraj twój... nie powitał naród, z którego wyszedłeś więc my przybyliśmy z obcego dalekiego świata, by hold Ci złożyć Panie... szeptał Baltazar.

— Synu Boga! — modlił się Melchior.

— Królu! Królu dusz! — szeptał Gathaspar. I klęczeli tak w niemym podziwieniu, a serca ich wypełniała radość bezbrzeżna... i szaty swoje jedwabne rozścielili pod znużone stopy Dziewicy i Jej Bożego Syna.

6. OPIS ŚMIERCI ŚWIĘTEGO KOSTKI

Opis śmierci świętego Kostki przez współczesnego Mu przyjaciela:

« Wielu było młodzieńców świętych, i bez zmayı,
jedni jak lilje polne, drudzy — inne kwiaty,
jeden w kożuszku chłopskim, a drugi w bogatej
sukni tkanej szkarłatno w złote ornamenty —

Wiedeń — ogród mistyczny, tak Mu się wydawał,
kiedy błędził jak anioł, — ujmując rzecz ściśle, —
poprzez ulic rozkosznych wenecki karnawał
o coraz nowym śniący niebieskim zamyśle !

Wszystkie drogi prowadzą do Rzymu. A w Rzymie
pali się płomień wiary ogniem jak marzenie,
jak pragnienia nieziemskie, żeby obcą ziemię
rzucic, i do niebieskiej wracać,
choć ubogi.

— — —
Apteczny zapach nieco, kiedy siąknę nosem,
a też: palą się świece, i — pogodnie świecą.
Widać, że się szykuje Chory do powrotu,
czekanego z tęsknotą, jak my — też z tęsknotą !

— — —
Jeszcze tajemnic kilka, dla nich — w obcej mowie,
dla mnie przecie najśladziej, tożem się pochylił,
by ich dociec, a świece przygasły w tej chwili —

— — —
Widać, że anioł skrzydłem trącił je w przelocie —

— — —
A te strofki, co pisze nieudolną ręką
skryba, pocąc się wielce, święty Stanisławie,
niech się wznoszą do Ciebie w Twojej świętej sprawie,
jako, że my też wszyscy przedziem bardzo cienko — »



7. W JERUZALEM

Jeden z Lewitów wskazał drogę Józefowi i Marji do sali, gdzie rabbi Symeon przebywał w gronie uczonych.

Weszli i zatrzymali się w progu zdumieni, przerażeni niemal.

W cichej, białej sali, wśród wysmukłych korynckich kolumn o rzeźbionych cudnie kapitelach, na bogatych karłach siedzieli członkowie Synedrium i uczeni w Piśmie... Mieniły się jadvabie bezcenne, zawoje, drogie kamienie w pierścieniach i bransoletach, rysowały profile ostre mądrych zadumanych twarzy, a wśród nich biała drobna, smukła postać chłopięcia o złotych lokach i oczach błękitnych.

Jego jasny silny głos mówił o miłości olbrzymiej ogólnie ludzkiej, opasującej się jak nić, łącząca duszę człowieka z Bogiem.

Mówił o królestwie wiecznie trwałem, do którego dochodzi się drogą ofiar, wyrzeczenia, miłości Bożej i miłości człowieka.

Thore miłość pisała Boga dla człowieka... i jeno miłość zrozumieć i wytłumaczyć ją może.

Jakaś przekonywująca siła szła od tej jasnej, dziecięcej postaci, od oczu promiennych, od słów prostych i silnych, padających w przestrzeń z mocą olbrzymią. Echo budziły one w sennych kolumnadach białej sali i w sercach słuchaczy. Niejedna siwa głowa rozmyślała raz pierwszy nad miłością bliźniego, niejedno serce raz pierwszy wzruszeniem drgnęło.

Rabbi Gamaljel ciemną brodę wypielegnowaną dłonią gładził, na nim nie robiły wrażenia słowa dziecięcia, sceptyczny uśmiech filozofa drżał na purpurze warg i nagle padło ironiczne pytanie.

— Czy oddałbyś, apostołe miłości, życie za innych?

Zdawało się, że chłopię urosło nagle, szeroko rozwarte oczy patrzyły w przestrzeń... gdzieś poza ściany sali... w przyszłość, na młodej twarzycze uśmiech drżał, gdy splatając dłonie na zwoju świętym... rzucił w przestrzeń mocne i jasne:

— Oddałbym!

Echem powtórzyły kolumnady sali białej.

— I oddam...

Cisza...

W zdumieniu pochyliły się głowy... szeptał jakiś salą wionął...

W tej chwili starcze oczy Symeona dojrzały owe dwie postacie u wejścia, rabbi zwrócił ku nim spojrzenie niechętne.

— Czego żądacie?...

Mężczyzna w cieniu kolumny pozostał a tylko przedziwnie piękna postać kobiety szła wśród mędrców zdumionych ku białej postaci chłopięcia.

— Synu... czemuś nam to uczynił? Oto ojciec twój i ja... szukaliśmy cię w smutku i boleści.

Spojrzał ku niej.

— Dlaczego szukaliście mnie?... i zaraz dorzucił z mocą: Jeżeli nie wiedzieliście, że w tych rzeczach, które są Ojca mego i ja być muszę?

Z żalem po białej, cichej, sennej sali spojrział na mędrców zadumane twarze i do matki dłoń wyciągnął.

— Idę jeszcze z wami.

8. WYSZEDŁEM SZUKAĆ...

Wyszedłem szukać Ciebie o świcie i w trwodze,
Nie znajdując, myślałem, żeś szedł drogą kłamną;
I spotkałem Cię, kiedym odwrócił się w drodze,
Bowiem przez całe życie krok w krok szedłeś za mną.

Wędrowałem dzień cały pod cienia ciężarem,
W chłodzie południe minął, by oto u końca
Płonąć Tobą, o zmierzchu mym, czerwonym żarem,
Jako wieczorna rzeka o zachodzie słońca.

* * *

Kto szuka cię, już znalazł Ciebie;
Już Cię ma, komu Ciebie trzeba;
Kto tęskni w niebo Twe, jest w niebie;
Kto głodny go, je z Twego chleba.

Nie widzą Ciebie moje oczy,
Nie słyszą Ciebie moje uszy;
A jesteś światłem w mej pomroczy,
A jesteś śpiewem, w mojej duszy!

9. NAD JORDANEM

I Jan przeczuwał, że to « ON »... Pan, któremu służył duszą całą wiernie... którego ścieżki prostował... któremu glebę przygotowywał na siew.

— Po chrzest przyszedłem do ciebie, Janie.

A Jan na kolana się osunął.

— Panie ! Panie... toć ja chrztu potrzebuję od Ciebie, a ty... do mnie idziesz ?

Zdziwiony patrzył tłum na obcego młodzieńca i płaczącego Jana.

— Zaniechaj, Janie... W tonie dźwięczał nakaz...

Zatrzymały się w biegu fale Jordanu, jak gdyby lękiem świętym przejęte.

Zlewająca wodą na pochyloną głowę prawica drży. Powódź blasku otoczyła nagle postać Chrystusa i Jana: przerażony, olśniony lud do ziemi przypadł i oczy skrył.

A oto głos zwycięski, potężny płynie przestrzenią:

« Ten jest on Syn mój miły, w którym mi się upodobało. »

10. NIEMA NA ZIEMI

Niema na ziemi tak zbyt wiele,
By przyłgnąć do niej całą duszą
I gdy przypada śmierć w udziale,
Rozpaczną żegnać ją katuszą.

Niema na ziemi tak zbyt mało,
Aby, gdy gasną jej uśmiechy,
Jakieś ździebełko nie zostało
Choćby wspomnienia dla pociechy.

Jednakże jest na ziemi dosyć,
Aby spodziewać się i trwożyć,
Cierpliwie ciężar życia nosić
I z ulgą z ramion w grób go złożyć.

11. O RADOŚCI

O, radości, z rzeczy
Najdroższa, bez cen!
Niech cię ma w swej pieczy
Sen!

O, smutku człowieczy,
Dolo naszych łon!
Jeden cię uleczy
Zgon!

* * *

Daleko pójdę, zdaleka wrócę.
Dokąd ja pójdę i wrócę skąd?
Zdobędę wszystko, gdy wszystko rzucę,
Odzyskam bezmiar, straciwszy kąć.

Ból swój ucieszę, żalobę odsmucę!
Śmiechem powitam wygnania łąd!
Daleko pójdę, zdaleka wrócę;
Dokąd ja pójdę i wrócę skąd?

III. KILKA MYŚLI NA CZASIE

1. PRZEZ CHRYSTUSA PANA NASZEGO, powtarzamy w modlitwach Kościoła, nie zawsze jednak zdajemy sobie dość jasno sprawę z tego, jaką głębię znaczenia tych słów parę zawiera w sobie.

Zasadniczą trudnością, jaką umysł ludzki napotyka w wędrówce ku Bogu, jest niemożność wzniesienia się na wyżyny Bożej Miłości inaczej, jak posługując się wyobrażeniem bytów stworzonych. Nawet dowiódłszy, drogą rozumowania, istnienie Boga, staje człowiek bezradny, kiedy przychodzi mu w następstwie przyjąć pojęcie Boga osobowego, z którym łączyć go winien stosunek przyjaźni. Transcendentalność Bożych przymiotów nie dozwala mu na tego rodzaju ustosunkowanie się do Stwórcy. Koniecznym było wskazanie mu drogi. W dobroci swej uczynił to Bóg zsyłając Chrystusa na ziemię. Osoba Jego, tak bliska nam swem człowieczeństwem, choć tak niepojęta w swej tajemnicy Wcielenia Syna Bożego, ułatwia nam owo bezpośrednie, dziecięce odniesienie się do Pana Zastępów, na samo imię którego drżeli wierni Starego Zakonu.

Postać Jezusa Chrystusa ułatwia prostaczkom wyobrażenia Boga, chroni ich od błędów antropomorfizmu, a temsamem od bałwochwalstwa. — «Kto mnie widział, widział i Ojca» — powiada Chrystus. Prowadzi nas On do Boga, uczy żyć Prawdą, temsamem pojmować rzeczywistość Bożą, skoro najistotniejszym jej warunkiem jest dostosowanie do niej obyczajów, bez którego umysł człowieka w jałowej tkwi spekulacji. Jest On najpiękniejszym Ojca obrazem i przez to daje nam poznać, drogą analogji, istotę doskonałości bożych.

Jeden Chrystus wreszcie mógł nam wyjawić tajemnicę Trójcy Przenajświętszej. Gdyby nie Jego Wcielenie, Bóg byłby pozostał dla nas Bogiem Jedynym, nic jednakowoż nie wiedzielibyśmy o Jego wewnętrznym życiu. Osoba Jezusa Chrystusa, dozwalając umysłowi ludzkiemu pojąć istnienie oddzielnej Osoby Syna Bożego, stanowiącej z Ojcem jedność, ułatwia również poznanie, drogą analogji, takiejże oddzielnej osoby Ducha Świętego.

Dzięki Niej więc danem jest duszy uczestniczyć w wieczystej szczęśliwości Trójcy Przenajświętszej, drogą poznawania jej życia i życia niem przez Miłość.

Przez swe człowieczeństwo ułatwia nam Chrystus również i miłowanie Boga, daje oparcie naszej uczuciowości, niezdolnej do objęcia niematerjalnych bytów; prowadzi afekty nasze w kierunku wyswobodzenia się z wrażeń zwysłowych, a zatopienia się w czystej miłości na woli tylko opartej; czyni to powoli przyciągając nas ku pozaziemskiemu rzeczywistościom przez Piękność swą i dobroć. Uczy nas umierać dla świata i dla samych siebie przez przykład swej Męki krzyżowej, a wkońcu, przyciągnąwszy nas ku sobie swem człowieczeństwem, znika z przed oczu naszych, tak, jak uczynił był to w dzień Wniebowstąpienia, by wyzwolić nas z ostatnich doczesnych przywiązań i ukazać nam tajemnicę swej chwały.

Tak, jak prowadził Chrystus apostołów do ogarnięcia prawd objawienia, tak też i nadal naucza wszystkich ludzi; oświeca umysły, skłania swą łaską serca do zupełnego oddania się Bogu, do powrotu na łono Stwórcy. Przez swą obecność eucharystyczną jest On pokarmem dla dusz wiernych, jest Drogą, Prawdą i Żywotem, stanowiącym o naszym zbawieniu.

Wobec tylu i tak wielkich dowodów miłości Chrystusa ku nam, czyż nie popełnia istotnej winy każdy, kto na wezwanie Jego, na światło umysłowi dane, odpowie gnuśną bezczynnością, lub wręcz odmową, wyżej, niż życie z Bogiem, ceniąc wygody i doczesne przyw iązania.

PRZEZ CHRYSTUSA PANA NASZEGO — powtarzajmy więc wszyscy, w jakimkolwiek żyjemy stanie, dając się powodować Bożemu Słowu, zarówno za przykład biorąc ziemskie Jego życie, jak idąc z miłością za wskazanem nam przezeń Światłem...

2. NADZIEJA SPIEWA

Jestem Nadzieja,
Więc się spodziewam,
Jestem Nadzieja,
Więc sobie śpiewam,
Jestem Nadzieja,
Ejapopeja !

Śpiewam poprostu
I wam i sobie,
Śpiewam poprostu,
Wroga żalobie,
Śpiewam poprostu
I prosto z mostu.

Radość, wesele
Wszelkiemu bratu,
Radość, wesele
Bratu i światu,
Radość, wesele
W myśli i w dziele.

Tak wiecznie nie będzie,
Niebo się rozchmurzy,
Tak wiecznie nie będzie,
Nie może być dłużej;
Tak wiecznie nie będzie
Myśl tonąc w oblędzie.

Twa dola się zmieni
Po bólu i płaczu;
Twa dola się zmieni,
O duchu tułaczu;
Twa dola się zmieni,
Wśród słońca promieni.

Po smutku, rozterce,
Zabłyśnie pogoda;
Po smutku, rozterce,
Bóg siły nam doda;
Po smutku, rozterce,
Przebudzi się serce.

3. O PROSTOCIE BOŻEJ

W Bogu łączą się w sposób dla nas niepojęty nieskończone bogactwa atrybutów z zupełną prostotą istności, zawsze tej samej i takiej samej, zawsze całkowicie identycznej. Nie można powiedzieć, że atrybuty Boże są tylko nazwami, którym nie odpowiada żadna rzeczywistość, a jednocześnie trzeba uznać, że właściwie wszystkie one otożsamiają się w zawsze jednakowej, identycznej z sobą istności Bożej. Wszelka zmienność, różnorodność wprowadziłaby w Boga jakąś niedoskonałość, jakieś ograniczenie. Z drugiej jednak strony pojęcie zupełnej identyczności i prostoty łączy się dla nas z pojęciem jakiegoś ubóstwa, jakiegoś braku, jakiejś jednostajności i monotonii.

Niewątpliwie dla umysłu ludzkiego nie jest rzeczą możliwą zrozumieć pozytywnie, jak rozwiązuje się w Bogu ta pozorna sprzeczność. Rozum ludzki może tylko, przyglądając się światu otaczającemu nas, skonstatować, że trudność ta związana jest właśnie ze światem stworzeń, że w nim, szczególnie w świecie materialnym, rzeczywiście im coś bogatsze, pełniejsze, tem bardziej skomplikowane, im prostsze, tem uboższe i jednostajniejsze. Rozum tę obserwację swoją ze stworzeń przenosi na Stwórcę i wydaje mu się czemś sprzecznym i niemożliwym do zrealizowania to, czego nie spotyka w znanych sobie wypadkach. Rozum zapomina, że samo istnienie, sam byt w Bogu jest czemś nieskończeniem innym, a tylko analogicznym do bytu w stworzeniach i że to, co jest niemożliwe jako właściwość bytu stworzonego, jest zupełnie możliwe w tym, przewyższającym naszą zdolność rozumienia, Bycie niestworzonym. Pozytywnie tu na ziemi nie będziemy mogli tego zrozumieć w pełni.

Jest jednak w nas samych coś, co pozwala nam wytworzyć sobie przez analogję pewne pojęcie o tej łączności pełni z prostotą, która jest w Bogu. Tem czemś jest Łaska, która, dając nam udział w życiu samego Boga, jednocześnie daje nam zrozumieć cośkolwiek z tego życia w sposób dla nas niepojęty, który polega na tem, że doświadczamy w sobie istnienie takiego życia, nie rozumiejąc, jak się ono w nas dokonywa. Dusza, która jest pod działaniem Łaski, czuje, że, aby dojść do Boga, aby Go odnaleźć i z Nim się połączyć, musi dojść do zupełnej prostoty. Dusza czuje w sobie, jak nieskończenie prosty jest Bóg, do którego ona dąży.

Już nawet w porządku przyrodzonym życie duchowe człowieka charakteryzuje wyjście z nieskończonej różnorodności zjawisk, uproszczenie i uogólnienie. Materja jest czynnikiem różnorodności, indywidualizacji. Tam, gdzie jest czysto zmysłowa różnorodność wrażeń, tam właściwie jest jeszcze życie zwierzęce. Życie duchowe, ludzkie dąży do wydobycia z tego chaosu jedności w postaci pojęć i dążeń. Życie takie musi cośnecóż odcinać, upraszczać dla odnalezienia tego, co istotne, a jednak nie jest ono uboższe, przeciwnie ze swemi zasadniczymi kilkoma prawdami jest bogatsze i pełniejsze, niż życie czysto zmysłowe. Przyczyną tej prostoty życia duchowego jest to, że dusza ludzka stworzona jest na obraz i podobieństwo Boże i odbija w sobie cośnecóż z tej prostoty Bożej.

Łaska działa w duszy już wprost jako moc z Boga i upodabniająca do Boga. Dlatego skutkiem jej działania jest właśnie coraz większe uproszczenie duszy. Pierwsze to uproszczenie dokonywa się wtedy, kiedy dusza wyrzeka się tych różnorodnych możliwości, które są w grzechu. Grzech ma też swoją różnorodność, swoje, jeśli tak można

powiedzieć, bogactwo i niejednokrotnie to właśnie bogactwo swoiste grzechu jest tem, co duszę w nim więzi. Dusza boi się utracić te wszelkie możliwości, które jej daje grzech. Życie bez grzechu wydaje się monotonne i nudne w swoim pozornym ubóstwie. Jednak człowiek, który zerwał z grzechem, wie, że zyskał, jeśli nie na ilości, to na jakości życia, które nie zubożało, ale stało się pełniejszym.

Łaska, działając w duszy w dalszym ciągu, sprawia w niej dalsze uproszczenie. Człowiek, przynaglony przez Łaskę, czuje potrzebę odrzucenia, odcięcia ze swego życia już nie tylko tego, co złe, ale i tego, co zbędne, a co swoją różnorodnością oddziela duszę od jednego, od « unum necessarium ». Dusza, wycofując się jakby z tej różnorodności zewnętrznej, wchodzi w głąb, staje się bardziej jednolita i prostsza, gdyż nie rozprasza się całkowicie nazewnątrż.

Stopień tego uproszczenia jest różny, zależnie od wymagań Bożych w stosunku do danego człowieka i jego wierności. Skala jest rozległa, począwszy od tego minimum ascezy, które Kościół przepisuje pod grzechem, przez życie mniej lub więcej w duchu rad ewangelicznych, aż do życia według litery tych rad, a więc do życia zakonnego. Tam jednak, gdzie nie byłoby nawet zaczątku takiego życia, niema właściwie jeszcze życia Łaski. Ludzie, nie posiadający tego życia, wyobrażają sobie, że wyrzeczenie, że to uproszczenie jest jakimś przymusem, że wywołuje ono zubożenie duszy, że jest ono stratą. Widzą oni tylko zewnętrzną, coraz prostszą formę życia, nie umieją odczuć coraz bardziej narastającej w niem pełni. « Człowiek zwierzęcy nie rozumie, co jest duchowego » — mówi św. Paweł. Niepojęte są dla nich słowa Pana Jezusa: « Kto straci duszę swoją, zyska ją. » Za każdą stratą, za każdym odcięciem, za każdym uproszczeniem życia zdaje im się, że zije na nich pustka, próżnia. Nie znają pełni i bogactwa tego życia « córy królewskiej », której « cała chwała nazewnątrż » według słów Psalmisty. Nie rozumieją również, że to uproszczenie, które nie może dokonać się bez cierpienia, nie jest procesem mechanicznym, ale że jest jakby zewnętrznym przejawem działania Łaski, która, wypełniając duszę życiem wyższego rzędu, wypiera z niej życie niższe, którym żyła ona uprzednio.

Łaska Boża, działając w duszy, której życie zewnętrzne jest już uproszczone dostatecznie, aby nie stanowić przeszkody, sięga głębiej aż do jej życia wewnętrznego i tam również dokonywa uproszczeń i zjednoczenia. Dusza z wielości, która się przejawia w potrzebie różnorodnych wyobrażeń, nabożeństw, modlitw, stopniowo zwraca się ku jednej myśli, jednej modlitwie coraz prostszej, coraz bardziej miłczej, coraz bardziej jedynej. Od krzątania Marty przechodzi ona powoli do kontemplacji Marji, która wie, że « jednego potrzeba ». Coraz głębiej i realniej dusza zaczyna rozumieć słowa Chrystusa, że nie w wielomówstwie naszym będziemy wysłuchani. Dusza coraz bardziej wyrzeka się w stosunku do Boga wielu uczuć i wielu słów, odnajdując coraz łatwiej jedno słowo najprostsze, w którym cała oddaje się Bogu i cała Jego przyjmuje. W tem uproszczeniu znów życie jej, pozornie coraz uboższe, staje się w istocie swej w zjednoczeniu z Bogiem coraz pełniejszym i coraz Jemu bliższym. Dusza, zatracając coraz bardziej swoją różnorodność, coraz bardziej, coraz pełniej ją odnajduje. Aż w zupełnym zatraceniu śmierci odnajdzie całą pełnię Bożą.

Tak więc człowiek, wejrzawszy w swoje wnętrze i poznawszy w niem tajemnicę pogodzenia prostoty z bogactwem, może zrozumieć, że w Bogu jest to samo, lecz w sposób nieskończenie doskonalszy. Rozumie on, że to, co odnalazł w swej duszy, jest tylko odległym odbiciem, niedoskonałym upodobnieniem cudownej prostoty i pełni Bożej.

To zrozumienie daje duszy smak i ukochanie prostoty. Widzi ona, że prostota we wszystkich przejawach życia jest skutkiem uduchowienia. Człowiek zaczyna rozumieć piękno i wartość prostoty zarówno w formach życia ludzkiego, jak i w sztuce. Widzi, że kształt prosty nie jest wyrazem słabości, lecz mocy, nie jest nieudolnością, ale sztuką, nie jest porażką, ale zwycięstwem ducha, który umie się ograniczyć, zaprzeczyć się formy rozlewnej, aby znaleźć formę zwięzłą, zaprzeczyć się łatwego zadowolenia, aby znaleźć

trudny, lecz pełny, swój wyraz. Piękno klasyczne, tak rozpatrywane, jest w istocie swej bardziej duchowe, niż gładzący panowanie ducha romantyzm.

Tego rodzaju spojrzenie daje zrozumienie wartości formy, która tem jest prostsza, im bardziej jest formą. Zrozumienie to uczy rozpoznawać i rozróżniać prostotę pełni, która jest zwycięstwem ducha, od prostoty próżni, która jest prostotą materji niezłożonej, prostotę punktu wyjścia od prostoty punktu dojścia.

W życiu duchowym zrozumienie prostoty w Bogu daje człowiekowi nieustanne pragnienie osiągnięcia prostoty w swoim życiu. Tęsknota do prostoty w życiu chrześcijańskim będzie ciągłą tęsknotą do Boga. Jej zrozumienie sprawi, że człowiek nie będzie się bał prostoty jako zubożenia życia. Przed każdym krokiem w głąb, przed każdym wysiłkiem uproszczenia i zjednoczenia, z którym łączy się ból jakiegoś wyrzeczenia, człowiek wzdraga się, bojąc się próżni, którą mu ukazuje jego materialne, zmysłowe serce. Żywa wiara, że w tej głębi jest Bóg, że w pozornej próżni jest pełnia, że sam Bóg jest najwyższą prostotą i że w prostocie Jego odnajdujemy, nadaje moc tym aktom ufności, bez których nie można się posunąć na drodze uproszczenia się i znalezienia Boga.

4. STYCZEŃ

W przestrzeni przez słońce zalanej
Cienie się ścielą błękitnie,
Na ziemi w puch biały przybranej
Gałązka każda szkłem kwitnie.

Tak nieraz, cierpieniem zbolą,
Czy w świecie doli śnieżystą,
Ach, każdy miał chwilę choć małą
Duszę jak szronu kwiat czystą.

I tęskność za dolą, za złotą,
Co ją jak okiść wiatr zmiata,
Jest skrytą za tobą tęsknotą,
Anima immaculata !

5. LUTY

Komin wesoło
Pronie i strzela,
Hej, u komina
Usiądźmy wkoło,
I dla wesela
Nalejcie wina !

Pokój w półcieniu,
W oknie noc cicha,
I iskry migocą
W mroźnym deseniu,
Na dnie kielicha
Myśli się złocą.

Oto myśl nęci,
Oto myśl drażni:
W wesołą chwilę
Na cześć pamięci
— Duszy przyjaźni —
Kielich wychylę.

Swojska godzina
Znikła gdzieś w cieniu.
Pryśła nić święta...
Chłód serca ścina,
A w zapomnieniu
Kto z nas pamięta ?

6. DOBROĆ BOŻA WE WCIELeniu

Największym zdarzeniem w dziejach ludzkości to przyjście Drugiej Osoby Boskiej na świat. Jest ono ważnym nie tylko samo w sobie lecz także przez skutki, jakie za sobą pociągnęło. I nie tylko jest faktem, który się dokonał swego czasu i który obecnie należy już do historii, ale jest czymś zawsze dla nas nowym, zawsze na czasie, ono każdego z nas dotyczy, wszyscy bowiem z niego korzystamy i korzystać będziemy do końca wieków.

Wiadomym nam jest, że Wcielenie Syna Bożego, jest ściśle związane z naszym zbawieniem. Znamy wprawdzie nawet dość szczegółowo okoliczności w jakich miało miejsce tajemnica Wcielenia, lecz mimo to nie będzie nigdy za wiele nad nią się zastanawiać. Ona tak jest bogata w treść, tyle zawiera w sobie prawd, że za każdym powrotem do niej, poznamy coś nowego, lub to co już znamy, spostrzeżemy w nowym świetle, co bezwątpienia może być z wielką korzyścią, dla naszego życia duchowego.

Jest to dogmatem wiary, że Druga Osoba Boska stała się człowiekiem nie przestając być Bogiem. Ta prawda należy do tych, których zwyczajnie najpierw się uczymy i które każdy z ludzi powinien znać. « Konieczną jest rzeczą do zbawienia wiecznego, aby także każdy silnie wierzył we Wcielenie Pana naszego Jezusa Chrystusa. »

Ową prawdę przypomina nam modlitwa, którą trzykrotnie dziennie mamy zwyczaj odmawiać, czyli tak nam dobrze znany « Anioł Pański ». W niej jest zawarta cała historia tajemnicy Wcielenia. « Oto ja służebnica Pańska » mówi Marja do Anioła zwiastującego Jej, że Bóg Ją wybrał na matkę Swego Syna. Skoro tylko Marja te słowa wypowiedziała, dając przez nie zezwolenie na zamiary Boże względem Niej, « Słowo stało się ciałem » to jest człowiekiem, i « zamieszkało między nami ».

Syn Boży stał się człowiekiem nie przestając być Bogiem. A więc to dziecię, które leżało w żłóbku, ten młodzieniec uczący doktorów w świątyni jerozolimskiej, ten nauczyciel głoszący prawdy ewangeliczne rzeszom palestyńskim, ten mniemany zbrodniarz kończący swe życie na krzyżu w największych męczarniach, to nie tylko człowiek, lecz i Bóg zarazem. Bóg prawdziwy i człowiek prawdziwy, w jednej osobie, mianowicie w Osobie Boskiej Słowa.

Wiemy także dobrze w jakim celu Bóg stał się człowiekiem, co Go skłoniło że zniżył się do nas i stał się nam podobnym. Katechizm wyraźnie i jasno nam mówi, że « Druga Osoba Boska stała się człowiekiem dla naszego zbawienia i odkupienia ». To zaś nam mimowoli przypomina smutne dzieje rodzaju ludzkiego, jak upadek pierwszych rodziców, skutki ich grzechu i t. d. Bóg właśnie w tym celu przychodzi na świat, aby to wszystko naprawić.

Zastanawiając się nad tajemnicą Wcielenia, każdemu zapewne nasuwa się pytanie, czy było rzeczą absolutnie konieczną, aby Bóg stał się człowiekiem? Przypuściwszy zaś ten fakt, że Bóg stał się człowiekiem, czy dzieło odkupienia musiało się dokonać w taki sposób w jaki się w rzeczywistości odbyło, to jest przez cierpienia i śmierć, czy też Bóg mógł inaczej tego dzieła dokonać ?

Na tak kategoryczne postawione pytanie należy odpowiedzieć: « Nie. Pan Bóg nie był zmuszony obrać Wcielenia jako środek odkupienia ludzkości. Przedewszystkiem mógł Pan Bóg darować ludzkości grzechy, nie żądając żadnego zadośćuczynienia, lub jeśli już postanowił ludzkość odkupić przez Wcielenie, mógł to uczynić w innej formie, mógł n.p. zadowolnić się jednym aktem miłości Chrystusa, a nie żądać od Niego tak

wielkiej ofiary. Słowem Pan Bóg miał nieskończoną ilość możliwych środków, aby dokonać dzieła Odkupienia.

Jeśli mimo wszystko tak postąpił a nie inaczej, to uczynił to dlatego, że chciał, że taka była Jego święta wola.

Nie zatrzymując się więc dłużej nad pytaniem, co było możliwym, lecz biorąc pod uwagę to, co się stało, mianowicie że Bóg naprawdę stał się człowiekiem, że cierpiał, umarł i t. d., możemy wykazać, że Wcielenie jest zgodne z tem wszystkiem, co wiemy o Bogu, t. j. z Jego doskonałościami i że ono te doskonałości Boże najlepiej nam uwydatnia.

Wcielenie Syna Bożego jest przedewszystkiem zgodne z dobrocią Bożą. Przez nie Bóg swą dobroć wylał nazewnątrz w sposób najdoskonalszy.

Bóg jest dobrocią w najwyższym stopniu, jest samą dobrocią. « Żaden nie jest dobry tylko sam Bóg » (Łuk. 18, 19), wszystkie zaś byty poza Nim są dobremi o tyle i w takiej mierze, o ile i w jakiej zbliżają się do najwyższego Dobra.

Właściwością zaś każdego dobra jest udzielać się drugim, promieniować dokoła siebie. Każdy byt, każda istota istniejąca, jest czemś dobrem, posiada w sobie pewną dozę dobroci, jednakże nie każda jest doskonałą. Są byty mniej więcej doskonałe. Zależnie więc od doskonałości czyli od stopnia dobroci, dany byt, dane dobro mniej lub więcej będzie mogło udzielać się innym.

Dobra stworzone, ograniczone w swej doskonałości, zanim będą mogły zdobyć się na udzielenie odrobiny dobra innym, muszą najpierw długi czas pracować nad jego zdobyciem, doskonaląc same siebie. Nawet wtenczas gdy one posiadają pewną doskonałość, tak że będą zdolne promieniować, nawet wtenczas ta ich doskonałość będzie organiczną i daleko im będzie do doskonałości dobra absolutnego i dlatego też będą miały zawsze przed sobą pole otwarte do dalszego doskonalenia się.

Jeśli dany byt stanie się doskonałym w stopniu najwyższym, jeśli osiągnie to, do czego jest zdolny i jeśli jako doskonały w swym zakresie zacznie promieniować nazewnątrz, udzielać się innym to nawet wtenczas będzie dążyć do własnego udoskonalenia się. Dobra bowiem stworzone czyto pracują wprost nad zdobyciem doskonałości osobistej, czyto dobroć osiągniętą przelewają na innych, zawsze dążą do własnej doskonałości, do coraz większego upodobnienia się do dobra nieskończonego, któremu jednakże nigdy nie dorównają.

Biorąc pod uwagę dobro Nieskończone, zauważymy że tam rzecz ma się inaczej. Pełnia dobroci jaką jest Bóg, nie może dążyć ani do nabycia większej doskonałości, ani do upodobnienia się do kogoś wyższego. On jest tem co jest najwyższe i najdoskonalsze. Jeśli więc Bóg udziela swego dobra, udziela go jedynie dlatego, że jest dobrem i że do natury dobra należy udzielać się.

To co wiemy o naturze dobra wogóle, jest zgodne z tem, czego nas uczy wiara o Bogu. Mając na uwadze wspomnianą właściwość każdego dobra, możemy w pewien sposób uprzystępnąć sobie zrozumienie niektórych prawd objawionych, a szczególnie tajemnicy Wcielenia.

Wiadomem nam jest, że natura Boska udziela się w sposób nieskończony Osobom Boskim, czyli że Bóg rozlewa swą Dobroć w nieskończony sposób wewnątrz Samej Trójcy Przenajświętszej, w pochodzeniu Syna od Ojca, oraz Ducha św. od Ojca i Syna. Gdybyśmy o Bogu wiedzieli tylko to, że jest Dobrocią, nie moglibyśmy jeszcze z tego przyjść do znajomości Trójcy Przenajśw. Mając jednakże dane objawione, odnośnie do tejsz tajemnicy, możemy pokusić się o wytłumaczenie sobie fundamentu płodności w łonie Trójcy św., o jakiej nas wiara uczy.

Według nauki o naturze dobra, udzielenie się natury Boskiej w tajemniczem pochodzeniu Osób Boskich Trójcy Przenajśw., przedstawi się nam jako naturalne rozlanie nieskończonej Dobroci, w sposób nieskończony dokonały.

Oprócz wspomnianego udzielania się Dobroci Bożej nawewnątrz wiara mówi nam o udzielaniu się jej nazewnątrz, przez stworzenie wszechświata i wreszcie przez Wcielenie. Te ostatnie różnią się od pierwszego tem, że są zupełnie dobrowolne od strony Boga.

Przez rozlanie swej dobroci wewnątrz Trójcy Przenajśw., pragnienie udzielania się jest całkowicie zaspokojone, nic więc nie może skłonić Dobroci Bożej do wyjścia poza siebie, do promieniowania na zewnątrz. Bóg tu jest całkiem wolny, jedynie od Jego woli to zależy.

Chociaż Bóg już raz się udzielił, lub ściślej się wyrażając, udziela się w sposób nieskończony, to jednakowoż owe nieskończone i odwieczne udzielanie się nie zmieniło jego natury. On jak był, tak nadal pozostaje Dobrem nieskończonym, którego właściwością jest udzielać się. Mimo że już raz rozlał swą Dobroć w sposób nieskończony w pochodzeniu Osób Trójcy św., pozostaje Mu możliwość udzielania jej nazewnątrz, tym razem już w sposób skończony i ograniczony. Motywem więc tego udzielania się nazewnątrz jest również dobroć, dążąca zawsze do oddania się innym. Ono może się wydać rzeczą nieużyteczną, gdy je rozważymy ze strony Boga. Bóg bowiem z tego nie odnosi żadnej korzyści, ani przez to nie jest doskonalszy czy szczęśliwy, lecz trzeba wiedzieć, że gdy dobro się udziela, ono nie kieruje się korzyścią. Nawet wtedy niema żadnej konieczności rozlewania swej dobroci, ono znajduje że to jest rzeczą dobrą dawać z obfitości swej dobroci.

Wszechświat, wszystko co istnieje poza Bogiem, jest dziełem Dobroci i Miłości Bożej, miłości zupełnie dobrowolnej i bezinteresownej. « Ponieważ Bóg jest dobry, my jesteśmy » mówi św. Augustyn.

Pierwszą rzeczą, pierwszym darem jaki Bóg daje stworzeniu jest istnienie. Otrzymując istnienie stworzenie robi niejako pierwszy krok do Boga, wychodząc z nicości. Inne dary, które później stworzenie otrzyma będą tylko dalszym postępowaniem ku Bogu i im tych więcej otrzyma, tem równocześnie więcej do Boga się zbliży, więcej do Niego się upodobni i doskonalej odzwierciedli na sobie doskonałości Boże. Nigdy jednakże stworzenie nie potrafi odbić ich na sobie w zupełności. Bóg jest nieskończenie doskonały, dlatego też w nieskończony sposób Jego doskonałości nazewnątrz mogą się odbijać.

W rzeczywistości Bóg objawia swe doskonałości w sposób skończony, lecz bardzo rozmaity. Począwszy od świata mineralnego poprzez świat roślinny i zwierzęcy, a skończywszy na człowieku, wszystko to jest odbiciem doskonałości i dobroci Bożej. Wszystkie owe stworzenia naśladują Boga w Jego przymiotach. « Bo rzeczy jego niewidzialne, od stworzenia świata przez te rzeczy, które są uczynione, zrozumiane, bywają poznane: wieczna też moc jego i bóstwo. » (Rzym. 1, 20). Odbijając na sobie Jego doskonałość naświatlają Go niejako z różnych stron. Rozumie się, że one nie wyczerpują ani w jednej części Jego doskonałości. Bóg jest zawsze czemś nieskończenie doskonalszym i lepszym niż one nam o tem mówią.

Przez stworzenie wszechświata Bóg w pewnej mierze udzielił się nazewnątrz i objawił wiele swych doskonałości, lecz to nie wystarczało Jego Dobroci. On nie ograniczył się do porządku przyrodzonego. Dobroć Jego przekroczyła granice tego porządku, dopuszczając stworzenie do uczestniczenia w samej naturze Boga przez łaskę poświęcającą. Przez podniesienie do porządku łaski stworzenie o wiele więcej do Boga się zbliża i upodabnia. Łaska bowiem poświęcająca, daje stworzeniu już tu na ziemi coś za samego Boga, mianowicie początek życia Bożego, które później w widzeniu błogosławionem ma się rozwinąć w całej pełni.

Porządek łaski jest drugim światem, nieskończenie wyższym i doskonalszym od świata przyrodzonego. W porządku łaski stworzenie wstępuje niejako w związki pokrewieństwa ze samym Bogiem, staje się Jego dziecięciem, jest w pewien sposób ubóstwione, jednakże mimo wszystko nie staje się Bogiem. Między Bogiem a stworzeniem tak udoskonalonym istnieje zawsze przepaść nieskończona.

Czy jednakże Bóg nie może posunąć się dalej i udzielić się stworzeniu jeszcze więcej? Patrząc na rzeczy z punktu widzenia czysto ludzkiego, nie moglibyśmy czegoś więcej nawet przypuszczać. Jeśli wyniesienie do porządku łaski przekracza siły przyrodzone naszego umysłu, to tem bardziej bez światła wiary nie możemy sobie wyobrazić czegoś doskonalszego. Co jest ponad siły i zdolności stworzenia, to jednakowoż jest możliwe

dla Boga. Wszehmoc i Dobroć nieskończona poszła dalej udzielając się stworzeniu jeszcze więcej. Tym punktem kulminacyjnym udzielania się Dobroci jest Wcielenie, jest stworzenie w osobie Chrystusa trzeciego porządku, wyższego od dwóch pierwszych, który nazywamy terminem technicznym, ogólnie przez teologów przyjętym porządkiem hipostatycznym.

W tym porządku mamy już nie tylko człowieka ubóstwionego przez łaskę, ale człowieka, który jest Bogiem zarazem. Tu stworzenie (to jest natura ludzka Chrystusa) łączy się z Bogiem osobowo, tak że Bóg i stworzenie mają jedną osobę, i co za tem idzie jedno i to samo istnienie, to jest istnienie Boskie. Chrystus w swej naturze ludzkiej posiada w sobie pierwiastek bytu ten sam co i Bóg. « Który (Syn Boży) jest jasnością chwały i wyrażeniem istności Jego... » Ścisłego połączenia między Bogiem a stworzeniem już sobie wyobrazić nie można. Więcej Bóg stworzeniu udzielić się nie mógł. Rozważając tę prawdę nie pozostaje nam nic jak zawołać: « O głębokości bogactw, mądrości i wiadomości Bożej, jako są nieogarnione sądy jego i niedościgłe drogi jego. » (Rzym. 11, 33.)

Chrystus jako człowiek, wskutek połączenia tak ścisłego z Osobą Boską, staje przed nami, jako istota najdoskonalsza, z którą nie mogą się równać ani aniołowie najwyższych chórów, jak to wyraźnie zaznacza św. Paweł w liście do wiernych: « Tem zacniejszym zostawszy od Aniołów, im osobliwsze nad nich imię odziedziczył. Bo któremuż kiedy z Aniołów rzekł: Synem moim jesteś ty, jam ciebie dziś urodził ? I znowu: Ja mu będę Ojcem, a on mnie będzie Synem. »

Chrystus wyniesiony do tak wielkiej godności, pochodzi jednakże z naszej rodziny, jest naszym bratem, a więc i my wszyscy, i cała ludzkość w Chrystusie została uszlachetniona i do poziomu Bożego podniesiona.

Nie dość na tem, Bóg łącząc się z naturą ludzką i podnosząc ją aż do współistnienia ze sobą, tem samem podniósł na wyżyny Boże cały wszechświat, którego człowiek jest syntezą, co my dobrze wyrażamy mówiąc że on jest małym światem « mikrokosmosem ». Gdyby Bóg połączył się « hypostatycznie » tylko ze stworzeniem czysto duchowym, jakim jest anioł, ani świat wegetatywny ani zmysłowy nie brałby w tem udziału. Gdyby znów połączył się ze stworzeniem stojącym poniżej świata duchowego, wówczas świat duchowy zostałby pominięty. Połączywszy się z naturą ludzką, z całym wszechświatem niejako się połączył, gdyż natura ludzka cały wszechświat w sobie reprezentuje.

Patrząc na te dziwy mądrości i dobroci Bożej jakich Bóg dokonał przy Wcieleniu, nie możemy już mieć najmniejszej wątpliwości że Bóg jest Dobrocią, że On stworzenie swe kocha. « Albowiem tak Bóg umiłował świat, że Syna swego Jednorodzonego dał » (Jan 3, 16).

To zniżenie się Boga do nas przez Wcielenie pociągnęło za sobą skutki dla nas nader dobroczynne. Ono było początkiem całego szeregu łask, jakie dzięki Wcieleniu na świat spłynęły, spływają i jakie do końca świata spływać będą. Zanim nad tem innym razem będziemy się zastanawiać, niech nam obecnie wystarczy wiedzieć, że Dobroć Boża to sprawiła, rozlewając się poza siebie, że mamy Chrystusa, który nam utracone prawo do nieba odzyskał, przez którego mamy przystęp do Ojca.

7. MARZEC

Hej, hej, tam od lasu, od skraju
Rozlały się wody aż hen !
Hej, ptaki wracają do kraju,
Zakwitło niebo jak len.

« Hej ptaki, czy białym was puchem
Nie stracha północ i dal ? »
— « My zwartym i bratnim łańcuchem
Moc śnieżnych łamiemy fal.

A w drogę lecimy, a w długą,
Miłością gnane do gniazd,
O drogę pytamy, o długą,
Li tylko słońca i gwiazd. »

8. KWIECIEŃ

Wierzba rosochata
Wdziąła perel sznur,
Jakaś pieśń skrzydlata
Rozszepiała bór.

Czemu dziś z kwiatami
Wraca pamięć win ?
Czemu przed oczami
Dawny staje czyn ?

Jeśli wiosna zmywa
Pleśnie z szarych pól,
Czemu doła mściwa
Wspomnień zsyła ból ?...

— « Nie drzyj przed cierpieniem,
Daj bólowi grać,
Ja ci ze wspomnieniem
Chcę pokory dać. »

9. O ZWYCZAJNOŚCI

Dusza ludzka ma czasem niejasne przeczucie czasem jasną świadomość swego wielkiego, cudownego przeznaczenia. Tkwi w niej tęsknota do tego przeznaczenia, do wyjścia poza siebie samą, do wielkości, do tej przemiany, którą dziwny i bolesny w swoim zablakaniu duch Nietzsche określił w słowach — « Człowiek powinien być przecięziony ». Przeczucie to i ta tęsknota wypowiada się między innymi w pragnieniu nadzwyczajności, w poszukiwaniu tego, co niezwykle, niepospolite, niepowszednie. Pragnienie to jest mimowiednym holdem duszy dla jej Stwórcy i dla jej celu ostatecznego. Dusza, któraby się umiała całkowicie zamknąć w małości swoich spraw, byłaby małą duszą zaledwie godną nazwy duszy ludzkiej.

Jednak droga osiągnięcia wielkości i niezwykłości może być bardzo różna. Ludzie, którzy nie znają Boga, widzą ją w osiągnięciu jakichś niezwykłych, wielkich rezultatów zewnętrznych. Dla człowieka niewierzącego miara wielkości i niezwykłości jest zawsze czemś uzewnętrznionem w jakikolwiek sposób, przynajmniej w uświadomionym geście wewnętrznym, — jeśli już nie w czynie bohaterskim, to choć w pięknej postawie duchowej.

Gdy pragnienie to ma jakieś podłoże realne w duszy takiego człowieka, wyraża się ono w istotnej wielkości zewnętrznej, wielkości Sokratesa, czy Napoleona. Kiedy indziej wypowiada się ono tylko w idealistycznych porywach, w « snach o potędze », w które tak obfituje życie ludzkie wogóle, a szczególnie rzeczywistość nasza.

Dla człowieka wierzącego i posiadającego w sobie życie Boże i tęsknota ta staje się pokusą, jedną z najsubtelniejszych i najniebezpieczniejszych pokus duchowych. Chrześcijanin ma nie tylko niejasne przeczucie wielkości, ale ma jej zupełną pewność. Wie on, że jest dzieckiem Bożem, które już tu na ziemi przez łaskę uczestniczy w życiu Bożem, z którego w pełni czerpać będzie w niebie. Do chrześcijanina stosują się te słowa Pisma Świętego: « Ego dixi, dii estis ». Wie on, że ma w sobie życie, przewyższające niekńczenie jego życie naturalne, większe i cudowniejsze niż wszystko, cokolwiek może on pomyśleć lub czego może zapragnąć i że życie to będzie w nim wzrastało aż do pełni. Jest to wielkość i niezwykłość, z którą nie mogą się równać żadne wspaniałości ziemskie, a początkiem jej jest to życie łaski, które każdy chrześcijanin ma w sobie, ma w głębi swej duszy, ma najrealniej, ma już teraz, a będzie miał jeszcze bardziej i zupełnie kiedyś.

A jednak, i tu jest właśnie coś po ludzku niepojętego, droga do tej wielkości jest wręcz przeciwna tej drodze, którą zwykle ludzie do niej dążą, droga do niezwykłości idzie przez przyjęcie zupełne i całkowite zwyczajności. Bóg stworzył człowieka i postawił go w określonych warunkach, na określonym miejscu, w określonym czasie, w określonym otoczeniu. Dla duszy wierzącego, rzeczywistość, w której on żyje, jej konkretność jest widomym znakiem, przez który prześwieca wola Boża, który ją tylko jakby zakrywa. Im pełniejsza wiara, tem znak wyraźniejszy, tem cieńsza zasłona, tem bardziej widoczny Bóg, który się posługuje naszym *tu* i naszym *dzis* jako naszą drogą do Siebie. Dla chrześcijanina niema uświęcenia poza konkretnością jego życia; wszystko, co się odchyli od tej konkretności, jako żal za czemś, lub marzenie o czemś, czego niema, jest odchyleniem od tej jedynej drogi, którą jest wola Boża zrealizowana w stosunku do każdego z nas w naszej codziennej zwyczajności.

Czemu tak jest i czemu ta jest właśnie droga? Odpowiedzi szukać możemy w tem, co jest odpowiedzią na wszystkie nasze zagadnienia i trudności: w tajemnicy Wcielenia i Odkupienia.

W niej widzimy, jak Bóg, aby podnieść nas do Siebie, aby wypełnić przepaść, która jest między Nim a nami, schodzi do nas, Bóg porzuca wielkość swą, wspaniałość i niezwykłość, porzuca swoje *wszystko* dla naszego *nic*. Bóg zaprzysięga się jakby zwyczajności, szarej codzienności i pospolitości życia ludzkiego; Bóg uświęca wszelkie miejsca, i wszelkie chwile, i wszelkie warunki, i wszelkie prace, i wszelkie okoliczności zwyczajnego życia ludzkiego. Bóg ukrywa swoją nadzwyczajność, która jest ponad wszystko, w zwyczajności dnia dziecka, człowieka pracy, człowieka cierpiącego i umierającego ludzką śmiercią. Któż nie odczuje, jak niewypowiedzianą, jak ponad wszelkie pojęcie staje się ta zwyczajność Jezusa!

I odtąd dla Jego wyznawców nie może być innej drogi niż ta, którą On poszedł. Jak śmiesznymi i małymi wydawać się muszą wszystkie sposoby osiągnięcia wielkości, wobec tego jedyne go sposobu, którym jest zejście wraz z Jezusem na samo dno naszej codzienności, przyjęcie jej w całej pełni, bez reszty, bez ucieczki, bez odchylenia, ze zrozumieniem, że tylko przez nią i w niej możemy osiągnąć naszą wielkość i nadzwyczajność. I tak jest rzeczywiście. Dla serca ludzkiego, pełnego pożądania, nastawionego na nieskończoność, rzecz każda, największa i najniezwyklejsza stanie się małą i zwykłą, gdy ją wreszcie posiadzie. Gdy zaś przyjmie ono swoją rzeczywistość jako wyraz woli Bożej, gdy przyjmie ją bez reszty i bez niedociągnięć, wtedy znajdzie w niej Boga i cała ona opromieni się cudem obecności Bożej. Wtedy odkryje ono istotną, jedyną i niezastąpioną wartość każdej rzeczy, każdego miejsca i każdej chwili i stanie wobec niej z zachwytem, umiającym odnaleźć we wszystkim, co znikome, Tego, który jest prawdziwie. Świat cały nabierze cudownego, niezrównanego piękna dla człowieka, który, przyjąwszy w ten sposób swoją rzeczywistość, będzie umiał na nią spojrzeć i dojrzeć tajemnicę bytu równie przedziwną w małej trawce, jak w drzewie wspaniałem, w komórce zwierzęcej i w doskonale skomplikowanym organizmie, w własnej duszy i w funkcjonowaniu społeczeństw, w zawitym biegu spraw świata i w przedziwnym przebiegu jednego dnia życia naszego. Dusza taka odzyskuje tę cudowną świeżość odczuwania i bezpośredniość stosunku do Boga, która jest znamieniem świętych, a która stanowi przedziwny czar postaci św. Franciszka. Świeżość ta przywraca duszy dzieciństwo, które według słów Chrystusowych jest warunkiem wejścia do Królestwa Bożego.

Człowiek, który w tym duchu przyjmuje i przeżywa swoją realność swoją zwyczajność, pragnąc wejść w nią do samego jej dna, ukryć się w niej całkowicie, odnajdzie nie tylko właściwą wartość każdej rzeczy, ale odnajdzie w niej Boga, Boga, którego nigdzie indziej nie znajdzie. Gdzieindziej znaleźć może swoje o Bogu wyobrażenie, swoje o Bogu pojęcie, tutaj znajduje Jego Samego, bo spodobało Mu się ukryć w tej zwyczajności, w niej znaleźć godne Swjej wielkości mieszkanie. Im pełniej i realniej człowiek w niej żyje, im krwawszym trudem wewnętrznym z nią się zespala, tem pełniej i realniej odnajduje w niej Boga, który chce, aby Go w niej szukać i znaleźć, aby Go w niej odkryć, nie wspinając się wznosząc, ale schodząc w dół tak jak On sam zeszedł, Bóg zawsze jest jeszcze niżej i jeszcze głębiej niż my.

* * *

Dziwną a wieczną pokusą człowieka, pokusą chrześcijanina jest pokusa przeciw swojej zwyczajności. Źródłem jej jest dobra w sobie, wiekuista tęsknota do Boga. Ale jest błąd w sposobie dojścia, w sposobie szukania. Najważniejszymi w życiu człowieka wydają się chwile rzadkie, niezwykle i dlatego traci on, gubi po drodze, chwile codzienne te, którym ma właśnie nadać pełnię wartości. Jak wielka część naszego życia ucieka nam, przecieka jakby przez palce w oczekiwaniu chwili wielkich i niezwykle! Jak wiele jest miejsc niepostrzeżonych dlatego, że szukamy miejsc dziwnych i rzadkich! Ileż

faktów codziennych odrzucamy w poszukiwaniu niezwykle zdarzeń! Ile najgłębszych Bożych słów pomijamy w modlitwie, szukając słowa nadzwyczajnego!

Jest jakby specjalna uluda, specjalny omam rzeczy dalekich, niedostępnych, niezwykle, który zagraża samej istocie życia duchowego. Przełamanie tego omamu, odrzucenie tej uludy, to pierwszy krok na drodze życia duchowego. Wniknięcie w realność, zrośnięcie się ze swoją zwyczajnością — to świętość.

* * *

Święci byli ludźmi nadzwyczajnymi właśnie przez tę pełnię swojej zwyczajności. Ewangelja ukazuje nam Marję i Józefa w ich codzienności zwykłych, ubogich ludzi. Mała Tereska od Dzieciątka Jezus była bohaterką życia zwyczajnego. Nawet to, co w świętych nam wydaje się nadzwyczajnością, dla nich było zupełnie zwyczajne, bo było na ich drodze Bożej. Nie szukali oni nadzwyczajności, wyprasali się nieraz od niej, uważając ją za ciężar, nie zachwycała ich ona, nie fascynowała, wobec widzenia tej jedynej niewymownej nadzwyczajności, którą jest Bóg i Jego odbicie we wszystkim.

Nadzwyczajność świętości zwyczajnej, można dojrzeć tylko, o ile ma się jej odpowiednik w sobie. Rozbłyska ona wtedy światłem przedziwnym i ozłaca czyny, słowa, postać człowieka, spełniającego sprawy zwyczajne w sposób nadzwyczajny w pełni Wiary, Ufności i Miłości, które są ciąglem źródłem prawdziwej zwyczajności i nadzwyczajności w życiu człowieka.

10. PRAWDA

Kłęczący u zapartej Labiryntu bramy
Tłum, podnosząc las ramion, wołał z wielkim płaczem:
« O, zjaw się, Prawdo! Wieki już ciebie czekamy!

Życie u stóp twych kładziem z łez naszych haraczem.
Przyjdź i przynieś pociechę, ulgę i nadzieję!
Ciebie jedynie sercem pragniemy żebraczem! »

I oto nagle pękły spiżowe wierzeje
I w progu naga postać stanęła surowa
I rzekła: « Kto mnie woła i z tęsknot chorzeje? »

Jam jest Prawda, co w mroku najgłębszym się chowa.
Niechaj odwieczna wasza modlitwa się ziści.
Jam jest, która Zagadki nić z przęśli swej snowa.

Kto mnie wybierze, będzie jako drzewo z liści
Odarte i przez śpiewne opuszczone ptactwo,
Próżen marnego zysku i błahej korzyści.

Kto pójdzie za mną, rzuci piękność i bogactwo,
Zaszczyty, cześć, ozdoby, stroje, pełne skrzynie
I obmierznie mu rozkosz i sława i władztwo.

O, pójdźcie, co mnie Prawdę, kochacie jedynie,
Nie pragnący nic nadto, bym była wam Panią!
Wstąpcie w mą bezkorzystną, przeczystą świątynię! »

I odeszła w mrok... Ale nikt nie poszedł za nią.

11. KAMIENIU SZARY

Kamieniu szary, leżący przy drodze,
Co w dal, jak życie samotne, ucieka !
Od lat do ciebie spocząć tu przychodzę,
Z duszą, co tęskni, spodziewa się, czeka !

Wielki twój spokój przykładem mi świeci,
Wlewa skrzepienia i pociechę we mnie,
Bo leżysz tutaj od tysiącoleci
Cichy, cierpliwy — co czekasz daremnie.

12. NAJWIĘKSZE I PIERWSZE PRZYKAZANIE

(Kilka luźnych myśli)

1. Zostaliśmy stworzeni na obraz i podobieństwo Boże... Katechizm uczy, że Bóg stworzył nas na to, abyśmy Go znali, kochali i przez to zbawili swoją duszę. Teologia, choć tę prawdę głębiej ujmuje i bardziej naukowo wyraża, nie uczy w tym przedmiocie nic innego. Prawda pozostaje ta sama, choćby wyrażała się wodmiennych określeniach.

2. Boga poznać możemy w podwójny sposób — spekulatywny i praktyczny — umysłem i sercem. Poznanie spekulatywne, zwłaszcza głębsze i szczególniejsze nie wszystkim jest również dostępne; zato do poznania Boga sercem, jesteśmy powołani wszyscy bez względu na nasz poziom umysłowy, naszą zdolność rozumu, nasze wykształcenie. Do wszystkich Chrystus mówi — «Bądźcie doskonałymi, jako i Ojciec wasz niebieski doskonałym jest» (Mat. 5, 48). Prosty wieśniak może mieć lepsze poznanie Boga praktyczne, aniżeli wielki teolog... Znane jest powiedzenie pewnego brata konwersa franciszkanina, współczesnego św. Bonawenturze: «Ja mogę kochać Boga więcej niż Bonawentura!» (który w swoim czasie był uważany za największego doktora i teologa).

3. Poznanie praktyczne Boga i Jego natury może nam się nieraz wydać niedostępnym, zbyt oderwanym i nieuchwytnym, dlatego tajemnica Wcielenia przychodzi nam z pomocą: Chrystus, Bóg i Człowiek w jednej osobie staje przed naszym sercem i mówi: «Kto we mnie wierzy, nie we mnie wierzy, ale w tego, który mię posłał. I kto mię widzi, widzi onego, który mię posłał (Jan 12, 44-45)... kto mnie miłuje, będzie miłowany od Ojca mego, i ja go miłować będę, i objawię mu siebie samego» (Jan 14, 21).

Łatwiej dla natury ludzkiej kochać Boga, który jest Człowiekiem zarazem... Miłujący bowiem stara się przypodobać umiłowanemu, upodobnić się doń... My zaś nie możemy dosięgnąć Boga samego w sobie, upodobnić się doń ani przez nasz rozum — bo między Mądrością Boga a naszą jest przedział nieskończony, ani przez naszą dobroć, bo my z siebie jesteśmy nicością i grzechem, a Bóg samą dobrocią, ani przez żadną cnotę, bo zawsze i wszędzie z naszej strony jest tylko nicość i egoizm, jedynie upodobnić się możemy w tych słabościach, które Bóg-Człowiek na się przyjął przez Wcielenie. Najbardziej zwłaszcza upodobnić się możemy do Chrystusa w naszych cierpieniach.

4. Są to niezliczone cierpienia, które towarzyszą naszemu życiu — cierpienia ciała, wszelkie trudy, znoje, wysiłki, praca codzienna, — cierpienia serca, te, któż zliczy? — Wkońcu cierpienia duchowe, pokusy i t. d.

5. Jeśli znosimy mężnie i z poddaniem się woli Bożej wszystkie nasze cierpienia, dajemy dowód tem samem, że kochamy Boga.

Życie ludzkie podobne jest do pięknego kielicha, który zanim otrzyma swoją ostateczną formę i piękność, musi przejść przez ogień, gorącość, próby, różne doświadczenia...

Z naszych cierpień składamy Bogu wspaniałą ofiarę, uzupełniamy krwawą Ofiarę krzyża.... Ofiara Mszy św. wraz z naszymi cierpieniami nabiera niejako charakteru Ofiary krwawej...

Pokusy zwłaszcza zbliżają nas do Boga... Bóg pozwala na nie, by nas nauczyć miłosierdzia i wyrozumienia względem naszych bliźnich — by nas upokorzyć, gdyż tak często wynosimy się nad swój stan, wkońcu, by nas nauczyć, czem jesteśmy...

Pokusy zbliżają nas do Boga, bo jedynie z pomocą Jego łaski możemy je zwyciężyć.

6. Miłość Boga — « to jest największe i pierwsze przykazanie » (Mat. 22, 38). Niezawodnie jednak zdajemy sobie dobrze sprawę, czy miłujemy Boga, gdyż nie mamy o nim jasnego pojęcia; Bóg, a nawet i sam Chrystus jest dla nas nieraz czemś dalekim, odczuciem... Kiedyż więc możemy być pewnymi, że prawdziwie kochamy Boga, że prawdziwie upodobniamy się do Chrystusa? « Po tem — mówi Chrystus — poznają wszyscy, żeście uczniami moimi, jeśli miłość mieć będziecie jeden ku drugiemu » (Jan 13, 35). Miłość względem Boga objawia się nieomylnie w miłości względem bliźnich naszych. Kochając ludzi — kochamy Boga.

Poganie nie znając ani kochając prawdziwego Boga, nie znali i miłości bliźniego, i dlatego ze zdziwieniem mówili o chrześcijanach — « Patrzcie, jak oni się miłują ».

7. Co znaczy miłować? Miłować — to chcieć skutecznie dobra dla naszych bliźnich, życzyć im go, bronić, starać się o nie... zwłaszcza o dobro duszy... nie krzywdzić nikogo, nie sądzić źle o nikim, nie zazdrościć, nie gniewać się, nie mścić...

Spokojnie bądźcie umierał ten, kto nikogo w życiu nie sądził, gdyż według zapewnienia samego Chrystusa — nie będzie sądzony...

* * *

Przez chrzest św. i łaskę poświęcającą staliśmy się przyjaciółmi samego Boga. — Miłość nasza z Bogiem — to przyjaźń w całym tego słowa znaczeniu. Musimy przeto zerwać przyjaźń ze światem, i zupełnie przywiązać się do Chrystusa... Serce ludzkie musi zawsze kochać — albo ten świat, albo Boga.

IV. BOŻE NARODZENIE NA TLE WSI

1. ZIMA

Nadchodziła zima...

— jeszcze się barowała z jesienią i porykujący tłukła po sinych dalach, jako ten zwierz srogi i głodny, że niewiada było, kiej przeprze a skoczy i lutemi kłami weźre się we świat...

— jeszcze czasami prószyl śnieg nikły, płowy — jesienny śnieg

jeszcze przychodziły dnie osłupiałe, chorością sine, ckne, stęgliwe, oropiałe i zgoła lamentem przejęte, a lodowem światłem mżące — dnie trupie, że ptactwo z krzykiem uciekało do borów, trwoźniej bełkotały wody i toczyły się leniwo jakby strachem stężale, ziemia dygotała, a wszelaki stwór podnosił czujące, lękliwe oczy na północ — w niezgłębioną topiel chmur

— jeszcze noce były jesienne: osleple, głuche, zamętne a pełne strzępów mgieł i brzasków gwiazd pomarłych — rozgnile noce dygotliwego milczenia, przenikniętego zduszonym krzykiem trwogi; pełne wzdychów bolesnych, szamotan, nagłych cichości, wycia psów, targań marznących drzewin, załosnych głosów ptactwa, szukającego schronisk, strasznych wołań pustek, rozstajów, zgubionych w ciemnicy, łopotów jakichś lotów, cieniów zaczajonych pod ścianami zdrętwiałych chat, pełzających hukań, zjaw przerażających, nawoływań nierozeznanych, młaskań okropnych, przeszywających jęków — jeszcze czasami, o zachodzie, z posępnych pól ołowianego nieba wylupywało się czerwone, ogromne słońce i spadało ciężko, niby kądź roztopionego żelaza, z której buchały krwawe wrzutki i były dymy smoliste, czarne, popręgowane gorejącymi zagwiami, że świat cały stawał w lunach i w pożodze —

I długo, długo w noc dogasały i stygły na niebie krwawe zarzewia, aż ludzie mówili:

— Zima rośnie i na złych wichrach przyjedzie.

I rosła zima, rosła codzień, co godzina, co to oczymgnienie.

Aż przyszła.

A najrychlej przyleciały zapowiednie wici.

Jakoś wnet po św. Barbarze, patronce dobrej śmierci, o cichem, omdlałem zaraniu, spadły pierwsze krótkie, trzepotliwe wiatry, obleciały ziemię ze skowytem, jako te psy węszące tropu, gryzły zagony, warczały w krzaczach, poszarpały śniegi, potarmosiły sady, poomiały ogonami drogi, wytarzały się po wodach i milczkiem urwały kajś niekajś co starszych strzech i ogrodzeń i jęły się zwijac a ze skomleniem uciekać na bory — a po nich zaraz na odwieczny, zaczęły się wysuwać z mroków długie, świszczące i jakoby koleczaste jęzory wicherów.

Wiały noc całą, a tak zasie skowyczały w polach, kiej to stado zgłodniałych wilków; a hulały rzetelnie, bo ano rankiem ziemia już dropiała z pod stratowanych i wyżartych śniegów, gdzie nigdzie ino po dołkach i brozdach bielily się poszarpane płoty, a zagony świeciły łysicami, drogi leżały skostniałe i przemarzłe, mróz zaś wżerał się ostremi kłami w ziemię, że dzwoniła jak żelazo — ale skoro dzień nastał, uciekły, poszczekując, pokryły się w lasach i w przyczajeniu dygotały skokiem napiętym, złym.

A niebo poczęło się saciagać coraz mroczniej; chmury wypełzały ze wszystkich jam, podnosiły potworne łby, przeciągały zgniecione kadłuby, rozwichrzały siwe grzywy, zielonawemi klami błyskały i szły całym stadem — grozną ponurą i milczącą ciżbą waliły się na niebo; szły od północy czarne, olbrzymie góry, postrzepione, podarte, spiętrzone, rosochate, niby kupy borów podruzgotanych, przzerwanych głębokimi przepaściami, zasypanych zielonemi lawicami lodów, a parły się naprzód z dziką mocą, z głym poszumem; od zachodu, z za borów czarnych, nieruchomych wysuwały się zwolna sine, obrząkle zwały, prześwitujące gdzie niegdzie jakby ogniem, a szły jedną za drugą, rzędem nieskończonym, coraz większym, jako by te klucze ptaków wielgachnych; zaś od wschodu wywlekały się chmury płaskie, zrudziałe, przedwieczne, przeropiałe, zgoła paskudne, kieby te scierwa przegniłe i ociekające posoką; i od południa szły, ino że zwietrzałe, czerwonawe, podobne do bajorów i trzęsawisk torfowych, pełne przeg i gruzów sinych, pełne plam i rojowisk strasznych — jakby pełne tego gmeżącego robactwa; a jeszcze i zgóry, jakby z wygasłego słońca, spadały kłakami brudnymi, to sypały się barwione jako te żuźle stygnące — a wszystkie szły na siebie, stożyły się w góry przegromne i zalały niebo czarnym, strasznym kipiętkiem błota i rumowisk...

Świat zagnała poczerniał, cisza się uczyniła głucha, przygasły światłości, sine oczy wód pomdlały, wszystko jakby zdrewniało i stanęło w zdumieniu z przytajonym tchem, lęk wionął po ziemi, mróz przenikał kości, strach chycił za gardzielę, dusze padły w proch, lute przerażenie załopotowało nad wszelkiem stworzeniem — widać było, jak zajac gnał przez wieś z rozwianą szerścią, to wrony z krzykiem przejmującym wpadały do stodoł albo i zgóła do sieni, psy wyły po przyźbach jak oszalałe, ludzie chyłkiem uciekali do chalup, a nad stawem biegała ślepa kobyła z resztką wozu, tłukła się o płoty, o drzewa, i z dzikim kwikiem szukała stajni.

Ciemnica się rozlewała smętna, dusząca: chmury opadały coraz niżej, zwały się z lasów rozkotlowaną gęstwą tumanów i toczyły się po zagonach jak te wody wzburzone, rozhukane, straszne — uderzyły na wieś i zalały wszystko lodowatą, brudną mgłą; naraz niebo się przedarło na środku i zajaśniało modrawo niby lustro studienne, świst ostrzy przeszył ciemności, mgły się skłębiły zagnała, a z pękniętej czeluści lunął pierwszy wicher, a za nim już leciał drugi, dziesiąty, setny!

Wyły już stadami, lały się z tej gardzieli niby rzeki niczem niepowstrzymane, rwały się jakby z lancuchów i z rozkowyczoną, wściekłą zgrają były w chmury, rzucały się na ciemnice i rozwalały je do dna, przeżerały nawskroś i rozmiatały niby tę słomę strupieszalą.

Wrzask poszedł po świecie, zamęt, szumy, świsty, kurzawa.

Chmury, stratowane ostremi kopytami wichrów, uciekały jakby chyłkiem na bory i lasy, niebo się przecierało, dzień znowu zaświecił olówanemi oczami, stwór wszelki odetchnął z ulgą.

Ale wichry wiały wciąż, bezmała całą niedzielę, a bez folgi żadnej, ni przystanku. Dnie, to tam jeszcze jako tako człowiek strzymać wstrzymał, że to ino ci się wiedli na świat, kogo potrzeba gnała, drugie zaś po chałupach siedzieli i końca wyglądali, ale noce, noce były nie do wytrzymania, a przeszły akuratnie jasne, rozgwiażdżone i w górze ciche, ino na ziemi wichura odprawiała djabelskie gody, jakby się naraz ze sto chłopów obwiesiło, że i zasnąć nie było można, jakże, kież szły takie ryki, trzaski, łomoty i hurkotania, jakby tysiące pustych wozów a w pędzie największym przejeżdżało po grudzie, a te tętenty, od których ziemia drżała, a te hukania Bóg wie czyje, te wycia!

Chałupy trzeszczały, bo raz wraz wichura parła barami ściany, tłukła się o węgły, podważała okapy, za przyciesia się brała, w drzwi tłukła jakby łbem, że niejedne puściły, szyby gniotła, aż trza było wśród nocy wstawać i przytykać poduszki, bo darła się do wnętrza z kwikiem, kież ta świnia uprzykrzona, a tak prażyła zębem, iż ludzie pod pierzynami aż kostnieli!

Co się naród nacierpiął przez te dnie i noce, to i nie wypowiedzieć! A co szkód narobiła, to i nie zliczyć: poobalała płoty, powydierała poszycia, u wójta prawie nową

szopę przewróciła, Bartkowi Kozłowi wzięła dach ze stodoły i poniosła w pola o dobre pół stajania, Winciorkom komin zwała, we młynie udarła kawał dranicowego dachu, a co strat pomniejszych, co drzew wylała w sadach i borach! Na wielkiej drodze wyrwała cosik ze dwadzieścia topoli, że padły wpoprzek, kież te trupy srodze pomordowane i obdarte.

W te wiejne i wrzaskliwe dnie Lipce były jakby wymarłe; wichura hulała z taką mocą, że kto się ino wychylił z chałupy, wnet go przycapiła za łeb i waliła, gdzie popadło — w rowy, o drzewa, na płoty ciepała, a nawet Jaska Przewrotnego zwała z mostu do stawu, że ledwie się chłopak wygramolił, a deła wciąż, sypała piaskiem i niosła gałęzie, wióry, snopki z dachów, czasem i wierzchoł pomniejszy, że leciały w kurzawie niby te ptaszyska rozgonione i tłukły się o ściany, we świat gnały!

Najstarsi ludzie nie baczyli tak swarliwych i uprzykrzonych wiatrów.

Gnietli się też po zadymionych chałupach i swarzyli z ckności niemal bo ciężko było nosa pokazać za węgieł, tyła, że co niecierpliwse kobiety przebierały się raz wraz chyłkiem pod płotami, niby to z kądział szły do kum, a głównie, by pomlec ozorami a nawyrzekać; chłopcy zaś młocili zawzięcie, z poza przywartych wrótni stodoł biły cepy od rana do późnego wieczora, mróz owarzył zboże, to łacniej się łuszczyło, a ino na odwieczerzu kież wichura nieco folgowała, niejedni z parobków przemykał się z ćwiartką jaką do karczmy.

A wichry wciąż jednak wiały i gryzły mrozem coraz krzepiej, że już od tej wiejby pozamarzały rzeczki i strugi, bagna stężały, staw nawet pokrył się przejrzystym, modrym prawie lodem, tyle, że ino przy moście, gdzie głębiej było, woda się jeszcze burzyła i nie dawała, ale brzegi leżały już skute na moc, że trzeba było przyręble ciąć dla wodopojów.

Dopiero przed samą św. Łucją przysła odmiana.

Mróz sfołzał, i ociepliło się zdziebko, wichry jakby zdychały, bo ino czasu do czasu przedmuchiły świat, ale już miętsze i nie tak swarliwe niebo zaś się wyrównało kieby to pole zbronowane a pokryte wielgachną siwą, zgrzeblą płachtą, a tak nisko się opuszcilo, iż jakby się na przydróżnych topolach wsparło. Ale posępnie było, szaro i głucho.

A skoro jeno przedzwonili na południe, zmroczowało się nieco i jął padać śnieg dużemi płatami, a sypał gęsty, bo wnet opierzył wszystkie drzewa i wyniosłości.

Noc się rychlej zrobiła, ale śnieg nie przestawał, sypał coraz gęściej suchszy nieco a sypki, i tak już przez całą noc padał.

Na switaniu było już sniegu na dobre trzy piędzie, docna przykrył kożuchem ziemię i przesłonił świat cały modrawą białością, a leciał wciąż, bez przestanku.

Taka cichość padła na ziemię, że ani jeden powiew nie zadrgał, ani jeden dźwięk się nie przedzierał wskroś tych spływających puchów, nic, zamilkło wszystko, ogłuchło, oniemiało, jakby przed cudem stanęło i przychylone nieco zasluchało się uroczyście w tym ledwie wycutym szeleście, w tym locie cichym, w tej białości martwej, rozdręganey i spadającej nieustannie.

Biaława ćma się czyniła, rosła, stawała; białe, migotliwe, niepokalane brzask sypał się by ta wełna najbielsza, najmiększa, najśliczniejsza; snuły się gęstwą nieprzyliczoną by ta zamarzła poświata, jakoby wszystkie gwiazdne światłości zaskrzepły w szron i, starte lotem podniebnym na proch, świat zasypywały — przysłoniły się rychło bory, przepadły pola, że ani okiem uchwycił, zginęły drogi, roztopiła się wieś cała i wsiąknęła w tę białosc, w ten oślepiający tuman; a wkońcu nie było już dla oczów nic widne, prócz tych strug śnieżystego pyłu, spływającego tak cicho, tak równo, tak słodko, kież te wiśniowe okwiaty w noc miesięczną.

Na trzy kroki nie dostrzegł chałupy, ni drzewa, ni płotu, ni czyjej postawy, ino głosy ludzkie latały w tej bieli kież osłabłe motyle, a mylnie, bo niewiada skąd płynące, dokąd — a coraz słabiej się trzepotały, coraz ciszej.

I tak sypało dwa dni i dwie noce, aż w końcu zasypało chałupy, iż się wznosiły jako te śniegowe kopce, buchające brudnymi kołtunami dymów, drogi się wyrównały z polami, sady były pełne po wręby płotów, staw całkiem zginął pod nawałą, biała równia,

niobjęta, chłodna, nieprzenikniona, puszysta i cudna pokryła ziemię, a śnieg wciąż padał, tylko że już coraz suchszy i rzadszy, bo nocami przedźierały się gwiazdne migoty, a w dzień modrzało niebo gdzie niegdzie wskroś tych polatujących paździerzy białych, i powietrze stawało nie słuchliwsze, głosy darły się ostro przez gęstwę, rażno, hukliwie.

Wież jakby się przebudziła, ruch powstał, kto niekto wyjeżdżał saniami, ale zawracał rychło, bo drogi były nie do przebycia; gdzie niegdzie przekopywali ścieżki między chałupami, odwalali śniegi z przed drzwi, wywierali, nacieżaj obory, radość przejmowała wszystkich, a już dzieci, to szalały z uciechy, psy naszczekiwały wszędzie, polizywały śniegi i ganiały wspólnie z chłopakami. Zaroilo się na drogach, wrzaski się podniosły w opłotkach, krzyczeli a bili się śniegówkami, a tarzali w miękkim, puszystym śniegu, a bałwany okrutne czynili, a saneczkami się ciągal, że te ich piski ucieszne i przegony zapełniły wieś całą, aż Rocho zaprzestał nauczania w ten dzień bo nie mógł nikogój utrzymać przy lementarzu.

Coś trzeciego dnia, o samym zmierzchu, śnieg przestał padać, prószyno jeszcze niekiedy, ale tak jakby kto worek z mąki wytrzepywał nad światem, że i znać nie było, ale niebo pochmurniało, wrony tłukły się koło domów i przysiadaly na drogach, a noc się zaciągnęła bezgwiezdna, ołowiana, temi śniegami omroczonemi rozbielona, a taka cicha, zakrzepła i martwa, jakby już całkiem z wszelkiej mocy wyzuta.

2. WIGILJA W POLSKIM DWORZE

..Otworzyły się podwoje, i poszli wszyscy do obiadu. Stały tam na stole naprzemian: zupa migdałowa i barszcz z uszkami. Nastąpiły po nich w zwykłym porządku: szczupak z szafranem, ryż z podróbkami, kapusta z linem, ryby po lwowsku, placuszki z makiem, karp z miodownikiem, grzanki do oliwy i wina, ryby smażone i po nich zamiast kompotu, jak zwykle, gruszki gotowane ze śliwkami i obwarzankami. Siano pod obrusem, dwie duże strucle wśród stołu, równoległe także, jak dwa pływające szczupaki, wśród białego kanału, i paczka opłatków przed gospodynią uzupełniały wigilję. Pan Monvel, pierwszy raz przytomny tej staropolskiej, postnej uczcie, któremu się barszcz z uszkami dostał w udziale, sądził, kosztując go, iż Polacy chyba przez umartwienie takie w post jadają potrawy. Widząc po nich następujące, lepszei rzeczami obłożone półmiski i gęsto przy nich nalewane kieliszki wina, nie wiedział już, przy takowym rodzaju zbytku, jak o polskim trzymać poście. Tak to powinniśmy być wybaczącymi dla otaczających nas cudzoziemców i nie nazbyt surowo sądzić o różnych obcych krajów obyczajach; gdyż to, co u każdego narodu szanownym jest starożytnym zwyczajem, i drogą po naddziadach puścizną, dziwaczne się tylko obcym wydawać może. Co zaś szczególniejsze wrażenie Panu Monvel czyniło, to życzliwy, z siwym wąsem, po polsku ubrany sąsiad, który, litując się nad nim, iż tak mało je i pije, gęste mu nalewał kieliszki, dawnemi zachęcając go kolejno przyjętymi w tej mierze aksjomatami: « Non est vinum, nisi Hungaricum. Post pisces, vinum misces. Bis repetita placent. Omne trinum perfectum. » Wszystkie te albowiem maksymy nieznanne były zupełnie Panu Monvel, z cyce-
rońską tylko łaciną obznajmionemu.

3. KOLENDA

Począwszy od wigilijnego wieczoru aż do Nowego Roku, a czasem i dłużej jeszcze, obdarzano się, wedle starego polskiego obyczaju, podarunkami, które nosiły miano kolendy.

Oto co o kolendzie pisze ksiądz Jędrzej Kitowicz, w pamiętnikach z czasów saskich:

« Kolenda jest to obrządek kościelny pewny, który się zaczyna od Nowego Roku i trwa do wielkiego Postu. Księża plebani lub ich wikarjuszowie w te czasy jeżdżą po dworach i wsiach albo po miastach chodzą po domach, ogłaszają w krótkiej przemowie przyjście na świat Słowa Wcielonego, życzą błogosławieństw wszelkich niebieskich i ziemskich i po skończonej perorze egzaminują czeladź domową i służących z katechizmu. Asystujący księdzu do tej kolendy organista z bakałarzem, gdzie jest i kilku chłopów, śpiewają na wchodzeniu i wychodzeniu jaką pieśń o Bożem Narodzeniu. Po wyjściu księdza, dziewczki ubiegają się do stolka, na którym ksiądz siedział. Która pierwsza usiądzie, ma sobie za wróżbę, że tego roku zamaż pójdzie. Po wsiach chłopci dają księdzu kawałki słoniny, serki, orzechy, grzyby suche i owoce, kokosze, a oprócz tego po kilka groszy. Po miastach zaś same tylko pieniądze, na jakie kogo stać; toż samo i po dworach szlacheckich, w których pospolicie, po odbytej kolendzie, raczą się gospodarz z księdzem. »

Lukasz Gołębiowski zaś tak nam opowiada o dawaniu podarunków w dniu Nowego Roku na magnackim dworze:

« Był dawny obyczaj dawania podarunków na Nowy Rok. Oto jest spis upominków, przez Kazanowskiego marszałka przeznaczonych dla dworzan na Nowy Rok 1638. P. koniuszemu koń siwo-jabłowaty, z rzędem srebrnym i kutaskami jedwabnymi; P. sekretarzowi Jasińskiemu kiereja altembasowa z rysiami i kłamra srebrna; P. sekretarzowi Kulczyckiemu kiereja z popielicami; P. inspektorowi pacholików pas z zapinką i kanakiem; P. inspektorowi domu żupan adamaszkowy czerwony, item kołpak soboli; P. piwniczemu czapka z sobolami. Każdemu z pacholików nowy żupan według nowego kroju i po 8 złotych, każdemu ze starszych służebnych po złp. 7, każdemu z średnich po 6, każdemu z młodszych po 3, każdy ciura weźmie złp. 2, każdy popychacz złp. 1. Ichmość PP. rotmistrze wezmą po szabli roboty Andrzeja z starego miasta, inni PP. towarzysze starsi wybiorą, jak im się upodoba, po parze pistoletów z mego arsenaliku, młodzi zaś po szabli roboty Jonsona z Podwala. Jeśli który z młodszych towarzyszów nie ma teraz konia, to mu wolno wybrać z trzeciej mojej stajni. Ksiądz kapelan weźmie z moich antyków, co mu się upodoba, a kaznodzieja pierścień z wizerunkiem Pana miłościwego; gwardjan zaś bernardyński, nasz spowiednik, asygnację na 20 wozów zboża. Szpitalowi na Mostowej ulicy daję asygnację na tyleż wozów, szpitalowi św. Ducha na wozów 10. Moi przybocznicy wezmą po 20 złotych, a ktoby został pominion, niech śmiało przyjdzie do mnie, przypomni, a będzie obdarzon. »

Wśród anegdot historycznych XVI wieku mamy zabawne wspomnienie o kolendzie błazna królewskiego, doby Zygmunta, sławnego Stańczyka. Zygmunt August, niezadowolony z jakiegoś ostrego przycinku, ominął go był przy rozdawaniu noworocznych podarunków. Staruszek chodził więc osowiały, podczas gdy senatorowie, licznie zebrani, składali monarsze życzenie Nowego Roku. Zapytany o powód smutku, odpowiedział tak głośno, by go król mógł słyszeć:

— Dla mnie rok nie nowy, bo suknie stare!

Zygmunt August, usłyszawszy tę skargę, rozczulił się i udarował błazna nowemi szaty.

I rozdawanie kolendy i tak zwane « chodzenie po kolendzie » pociągało za sobą moc wesołych obrządków. Gromadki młodzieży wiejskiej przede wszystkim, a często i miejskiej, obchodziły domostwa i chaty, dopraszając się datków. Uczestnicy tych wędrowek przebierali się w najrozmaitszy sposób za żydów, cyganów. Czasem prowadzono przytem żywe zwierzęta. Najczęściej przystrajali się jednak sami kolendnicy w przeróżne skóry zwierzęce, naśladując niedźwiedzia, tura, kozę, bociana.

Stary Rej, wspominając o kimś, kto: « Lata, by z wilczą skórą po kolendzie », świadczy, jak dawnym był ten zwyczaj świątecznych przebieranek.

Żegota Pauli, znany zbieracz pieśni ludowych, opisuje owe peregrynacje « po kolendzie »:

« W drugi dzień świąt rano chodzą małe chłopczyki od chaty do chaty, recytując mowę rymową. Wieczorem zaś dnia tego, zebrani parobcy, przebrawszy się w różne postaci, czasem też wodząc ze sobą tura lub wilka wypchanego, obchodzą z muzyką i śpiewem pokolei gospodarzy, za co od tychże nieco potraw świątecznych w darze otrzymują. »

Tenże pisarz przytacza pieśń, którą kolendnicy śpiewają po przybyciu:

A w niedzielę rano
Do dziewczyny jadą,
Niosą podarunki,
Złociste pierscionki.

Kończą po otrzymaniu darów:

Bywajże nam zdrowa,
Namś kolendę dała.
Tobie wina beczka,
A nam kolendeczka.

Gdy zaś podarunków im poskąpiono, wtedy śpiewają:

| | |
|------------------------|--------------------|
| U naszych dziewczeczek | Krowy nie wydoi, |
| Dobry porządeczek: | Ogona się boi, |
| Świnie w piecu ryją, | Izby nie zamiecie, |
| Psy naczynie myją, | Kupą stoi śmiecie. |
| A łyżki pod ławą | Kolendy nie dają, |
| Zarosły murawą. | Wszyscy powracają. |

Dostosowywanie treści noworocznego powinszowania do tego, czy się obchodzi z pełnemi, czy też z pustemi rękami, jest zresztą zwykłym zjawiskiem u kolendników. Po hojnym datku śpiewają oni:

Żeby wam się rodziło
Żytko, jak korytko,
Pszemica, jak rękawica,
Bób, jak złób,
Owies, jak skopiec.

Odchodząc zaś bez podarunku, życzą:

Żeby się wam rodził kąkol, stokłosa,
Babie do pół nosa.

Ponieważ kolendująca drużyna miewa dobre apetyty i nieraz może nadużywa gościnności gospodarzy, więc też pozostała w Rzeszowskim wesola kolenda złodziejska:

Jeden zabił wieprza,
Bo mu było nie trza.
Kolendniki, jak się zbiegli,
Całego mu zjedli.
Jedli oni, jedli,
Tak sobie mówili:
— Uciekajmy po jednemu,
Bo nas będą bili.

Jak się jeden został,
Dobrze on tam dostał,
Jak się kija domacał,
Dobrze tam się obracał.
Jak się stamtąd wyrwał,
Sam do siebie gadał:
— Oj, będę ja tę kolendę
Każdemu powiadał.

Wędrowki kolendników kierowały się oczywiście i do szlacheckiego dworu. Odebrawszy stosowny datek, dziękowali zań przybysze:

Darował nas
Pan gospodarz
Bardzo hojnie
I przystojnie...

Boga proście,
Niech mu roście
Na oborze
I w komorze.
Amen.

Żacy szkolni, chodząc po domach, taką pieśnią wypraszali sobie kolendowe dary:

Mości gospodarzu, domowy szafarzu,
Nie bądź tak ospały, każ nam dać gorzały,
Dobrej z alembika i do niej piernika,
Hej, kolenda, kolenda !

Chleba pytlowego i masła do niego,
Kaź stoły nakrywać i talerze zmywać.
Kaź dać obiad hojny, boś pan bogobojny,
Hej, kolenda, kolenda !

Kaczka do rosółu, sztuka mięsa z wolu,
Z gęsi przysmażenie, zjemy to, mospanie,
I cząber zajęczy, i do niego więcej,
Hej, i td.

Indyk do podlewy, panie miłościwy.
I to czarne prosię, pomieści i to się,
Kaź upiec pieczonki, weźmiem do kieszonki,
Hej, i td.

Mości gospodarzu, domowy szafarzu,
Kaź dać butel wina, bo w brzuchu ruina.
Dla większej ofiary, daj dobrej gorzały,
Hej, i td.

Piwo będziem pili, będziem się cieszyli,
Nie czekaj ruiny, daj połoć słoniny,
Dla większej ochoty daj czerwony złoty,
Hej, i td.

Albo talar bity, boś pan wyśmienity,
Daj i buty stare, albo nowych parę,
Daj i żupan stary, i grosik do fary,
Hej, i td.

Mości gospodarzu, domowy szafarzu,
Każ spichrze otworzyć i miechy nasporzyć;
Żyta ze trzy wory i wołu z obory,
Hej, i td.

Na piwa jęczmienia, koni do ciągnięcia,
Jagły, jeśli macie, to nam korzec dacie,
Tatarki na kaszę; kocham przyjaźń waszą,
Hej, i td.

Grochu choć z pół woru z tutejszego dworu,
Na mąkę pszenicy, zjemy społem wszyscy,
Owsa ze trzy miary dla większej ofiary,
Hej, i td.

Mościa gospodyni, domowa mistrzyni,
Okaż swoją łaskę, każ dać masła faskę,
Jeżeliś nie sknera, daj i kopę sera,
Hej, i td.

Mościa gospodyni, domowa mistrzyni,
Okaż swoją łaskę, każ upiec kielbasę,
Którą kiedy zjemy, to podziękujemy.
Hej, i td.

Chodzenie po kolendzie wzmaga się przed Nowym Rokiem i powtarza się jeszcze potem z okazji Trzech Króli. W przeddzień tego święta kolendujący chłopcy wędrują po chatach « z gwiazdą », wyklejoną z różnokolorowego papieru i oświetloną wewnątrz świecą.

Wigilję Trzech Króli nazywa lud nasz Szczodrym Wieczorem, na pamiątkę darów, jakie monarchowie u złóbka małego Jezusa złożyli.

W dniu przedświątecznym pieką po wsiach małe kukielki, zwane szczodrakami. Ubogie dzieci wiejskie, chodząc po chatach i prosząc o owe kukielki, tak śpiewają:

Czy piekliście szczodraczki, bochnaczki?
Dajcież nam.
Nagrodzi wam Pan Jezus
I święty Jan.

Obdarowani wychodzą z dobrem życzeniem:

Niech się wam rodzi pszenica — jak rękawica,
A jęczmień tak wielki — jak koń.

Gdy zaś szczodraków niema w chacie, wtedy dziatwa żartobliwie zlorzeczy:

Kiedyś nie miesiła,
Bodajeś się powiesiła!

Szczodry Wieczór jest ostatnim z tak zw. Świętych Wieczorów, które rozpoczynają się od wieczery wigilijnej. W wieczory te nie należy się trudnić ciężką pracą. Oddawienawna były one spędzane na śpiewaniu pieśni pobożnych i na rozrywkach towarzyskich.

4. NAPAD DZIKÓW NA WIEŚ W GÓRACH

Śnieg był tak wielki upadł, że dziki nie mogły dostać się do żeru w lesie, więc zgłodniałe spuściły się wielkim stadem do wsi. Słychać było zrazu straszliwe ujadanie psów, które w miarę tego cichło, jak się dziki zbliżały. Bo dziki wycięły wszystkie psy po drodze, nietylko psy, ale i trzode chlewną, bo gdzie ją tylko poczuły w obejściu, rozburzyły chlewy w okamgnieniu i pożarły trzodę. O obronie nie można tu było myśleć. Jeden odgłos dzwonów zdawał się na chwilę zatrzymać stado naprzeciwko dworu. Rzeczywiście zwróciły się dziki przed obejściem dworskim w bok, przeszły rzekę, a gdy z plebanji był już do rzeki przetorowany, wpadły na dziedziniec plebanji całym stadem tym szlakiem i obiegły w dziedzińcu, znalazłszy tu w kopcach przeszło dwieście korcy ziemniaków. Kopce te znikły w jednym mgnieniu oka. Ludzie w plebanji uciekli na strychy i dachy. Przez cały dzień rozlegały się głosy wołające ratunku, a dziki, rozłożwszy się po nawozach i gumnie, leżały sobie spokojnie w barlogu. We dworze miałem tylko dwie dubeltówki, ale co tu dwie strzelby pomogą na taki najazd całego stada dzików? Było wprawdzie kilkunastu gajowych i leśnych, ale tych oddzieliły śniegi ode wsi, i zresztą nie miałem żadnego wyobrażenia o tem, jakby w myśliwski sposób można zaradzić w takim razie.

Sołtys powiedział mi, że jeżeli kilka kop okłotów dam na to, to może się uda odpędzić nocą dziki ode wsi. — Ale mądrze trzeba się, panie, wziąć do tego, bo u księdza było tylko dwieście korcy ziemniaków w kopcach, a u nas jest przeszło trzy tysiące korcy w gumnie, a jak niemądrze ruszymy dziki, to się do nas spuszcza i zjedzą ziemniaki, i gorzelnia stanie, i niedołożone woły pognamy na targ!

Teraz dopiero ujrzałem całe niebezpieczeństwo położenia mego, bo nie byłbym nawet pomyślał o tem, że to był właściwie najazd dzików na ziemniaki, w których już na późnej jesieni wielkie robiły szkody.

— Z plebanji nietrudno będzie ruszyć dziki, bo już tam oporządziły wszystko, więc i same tej nocy ruszą, ale cała sztuka, żeby dziki odwrócić na działy, a nie dopuścić tej najezdni napowrót do wsi. Wypada tedy tak zrobić, że ja z gromadą zastąpię im od dworu i rzeki, i oprzem się aż o dzwonnice, a pan z innymi ludźmi ruszysz dziki z miejsca. Przed wieczorem zbiorą się ludzie we dworze, a oto toporniki już idą, to złagodzim tyki.

Tuż na ogrodzie dworskim stały tyki chmielowe w piramidy ułożone: rozebraliśmy jedną, a wybierając co najtęższe i najgładsze tyki, przyrządzali je naprędce topornicy.

W kierunku przez sołtysa oznaczonym, od dworskich ogrodów wpoprzek rzeki ku dzwonnicy wyrobione szlaki wołami, wszakże w sposób takowy, że się z żadnym innym szlakiem nie łączył. Na tym szlaku co kroków ośm albo dziesięć kazał sołtys przygotować po dwa okłoty, a oprócz tego kilka kop mierzwiastej słomy przed szlakiem. Na tej robocie upłynął prawie cały dzień. Kilka kagańców podróżnych było we dworze, więc robiono przez cały dzień gałki żywiczne, ale nietylko gałki, bo krajano nawet stare wory, maczano je w żywicy i przywiązywano jak chorągiewki na końcu tyk.

Pod wieczór zesła się prawie cała gromada do dworu. Z najtęższymi chłopami stanął sołtys na szlaku od granicy obejścia dworskiego ku dzwonnicy. Chłopcy obsiedli dachy, a gdy się już dobrze ściemniło, wzięliśmy wszystkie dworskie konie pod ludzi, tyki ze smolnemi wiciami i ruszyliśmy ku rzece. Plebanja leżała nad rzeką na wysokim zabrzeżu, i droga do niej wiodła krótkim wąwozem pod górę, pomiędzy dwoma budyn-

kami. Podjechawszy tedy nie byliśmy widziani od dzików. Jeden z górali, który miał w szmacie ogień ukryty, podniósł go teraz nieco w górę. Trzymaliśmy wszystkie nasze smolne tyki w kupie i płomień buchał odrazu okazałe w górę.

Wąwóz był przez dziki dobrze utarty, ruszyliśmy tedy cwałem i z wielkim hałasem w górę, z płonącymi chorągiewkami, i zajęliśmy ów ciasny oszyjek pomiędzy dwoma budynkami w samej bramie.

Zrazu porwały się dziki bardzo strwożone z barłogu. Tu padły tedy cztery strzały silne, lecz te strzały nie odstraszyły tyle dzików, ile dzwonienie w żelaza od pługów. Dziki zbiły się w jedną wielką kupę na środku obejścia, i była groźna chwila, bo duże samury wybijały się na czoło, i zdało się, że pójda na ogień przebojem. Lecz tu padło nowych cztery strzały, i dwa rozpalone kagańce rzucono na stado. Wówczas poczęły się fukać i pryskać, samury rzuciły się wbok, wywaliły kilka płotów i ryły się w śniegach, wyszedłszy w pole.

Wylom ten nie był szeroki: przelecieliśmy przez dziedziniec i stanęliśmy na tym wylomie, zakładając teraz palące się okłoty na tyki, których każdy miał dwa na koniu przy sobie. Stado dzików przesuwało się powoli, stawało co chwila i obracało się napowrót do ognia. Rzucaliśmy tedy zapalone okłoty przed siebie na szlak. Dziki, nałożywszy nieco drogi, polem zwróciły się ku dzwonnicy, chcąc się spuścić napowrót do wsi, ale w mgnieniu oka, na znak dany przez sołtysa, rozgrzały na tykach okłoty, a na kupach słoma mierzwiasta, i uderzone we dzwony. Był to prześliczny widok zimowej sobótki, który mi niepokój i mozołę pięciu dni osłodził! Dziki, widząc, że się do wsi dostać nie mogą, zwróciły się w górę i poszły na graniczny dział w sąsiednie lasy.

¹ Okłoty — wiązki wymłóconej słomy.

5. MATKA

Piękna jest puszcza poleska o zimowym wieczorze, gdy biały śnieg na leśnych polanach zapali się tysiącem kolorów, zajaśnieje błękitem i złotem, nim go nie zaróżowi ostatni pocałunek odchodzącego słońca...

Cicha jest puszcza poleska, jak owe święte bory, w których składano przed wiekami ofiary bogom, skupione i milcząca, czubami świerków i olch sięgająca, zda się, błękitu, niedostępna i tajemnicza. Wznoszą się w górę śmigłe kolumny drzew, piętrzą się na ziemi cmentarzyska powalonych olbrzymów leśnych, okryte białym całunem zimy...

Zaś w sercu kniei za potwornymi wywrotami umarłych pni, za zbitą gęstwą boru, na ostrowach, zagubionych wśród zamarznionych bagien, jest królestwo dzikiego zwierza... Łoś rosochaty ma tam swoje bobrowiska, głuszec, kochanek wiosny i nocy, grać tam poczyną o kwietniowym poranku, zimą zaś na lodzie zdradliwym wilcze stado sprawuje krwawe łowy sarnie lub lis zażywa ptasiego myślistwa...

Lecz królem i władzą tych stron nie był ani łoś łagodny, ani jeleni, który przybywał tu czasem z dalekich rewirów za żerem, ani lekkonogi kozioł, ani wilk mądry, ani głuszec o złoto-zielonej piersi, ale postrach boru — śmiały Ryś, przed którym drżało wszystko, od jelenia począwszy, a skończywszy na myszce leśniej, od głuszca do śpiewającego ptaszka z gęstwiny...

Wielki był jego rewir. Przebiegał go wzdłuż i wszerz w poszukiwaniu zdobyczy... Zabijał wszystko, co spotkał na swej drodze. Był ufny w swą moc. Upijała go krew. Marzyli o nim myśliwcy — nadaremnie. Miał bystry wzrok i ostry słuch. Był nieustraszony i uparty — oni zaś byli tylko uparci... Próżno robili nań obławy i zastawiali sidła. Wymykał się nagankom i omijał zasadzki.

Aż raz, gdy zawałna zima przycisnęła głodem całą puszcę, groźny władca boru wyzionął ducha, wpadłszy w żelaza...

Została po nim Rysica i dwoje rysiat. Przetrwały głód i chłód, polując po księżycowych nocach na chyże bielaki, podobne do duchów śniegu, i na bystro forkające jarząbki...

Piękne to były łowy. Puszcza zdawała się jakąś krainą ze srebrnej bajki... w zimnym świetle księżycowym nieruchome drzewa przypominały białe widma...

* * *

Po nocnych łowach rysie zaległy w gęstwinie na leśnym błocie... Spróchniałe drewna, powalone i wmarznęte w lód, przysypane śniegiem i porośnięte mchem, podobne są do śpiących w bezruchu gadów... Na jednym z nich leży Rysica, przyglądając się z leniwą lubością zabawie swego potomstwa... Młode, lecz rosłe już rysie igrają ze sobą, jak rozbawione kocięta, mrużąc i parszcząc. Staczają homeryckie boje, walkę udaną, która wyrabia zręczność i szybkość ruchów — cnoty tak niezbędne w puszczy.

Wschodzące słońce rozpala złote ognie na lodzie, barwi fioletem śnieg. Jest dziwny spokój w przyrodzie. Najlżejszy podmuch wiatorku nie mąci białej ciszy boru. Tylko czasami zaszczebioce gdzieś mała ptaszyna w gęstwinie i nagle urwie — jakby zawstydzona...

Świat zda się tu młodszy o lat tysiące. Nawet wieść o ludziach nie mąci milczenia dziewiczej głuszy. Tylko daleki skrzyp sań, jadących drogą leśną, przypomina czasem puszczy o samozwańczym królu stworzenia... Lecz sanie przejezdne nie płoszą leśnych mieszkańców.

Oto i teraz daleko, bardzo daleko, rysie słyszą skrzypienie sań na leśnej drodze... Przerwywają zabawę, nastawiają czujnych uszu i poczynają bawić się na nowo... A wschodzące słońce pierwszymi swymi promieniami wyzłaca dzikie piękno tej sceny.

Na leśnej drodze jaskrawo lśni iskrzący śnieg. Tropy rysie znaczą się na nim ciemnym błękitem, jak sznur wielkich, modrych pereł. Mkną chyże sanie drogą, a w saniach jadą leśnicy.

Ujrzeni świeży ślad. Wskoczyli bezgłośnie z sań. Pochylają się nad ziemią.

Pomkneły sanie po miękkim śniegu leśną trybą — jak duchy. Koń nie zaparował, ani człowiek nie przemówił słowa.

Skoro zaś leśnicy objechali ostęp i nie natrafili na wychodny trop zwierza, nadzieja wstąpiła w ich serca. I nawrócili ku leśniczówce, by rysie otoczyć w kniei sznurem z chorągiewkami...

Słońce wytoczyło się tymczasem na niebo blade-błękitne i zapaliło żywe ognie na ośnieżonych drzewach...

Rysie przestały się bawić. Pokładły się na omszałych powalonych pniach drzewnych, drzemały leniwie, bezpieczne i bez troskie.... A słońce zimowe pieściło ich złotawe futra...

* * *

Leśnicy wkrótce wrócili. Rozwieszać poczęli po niskich krzakach — tuż nad ziemią — wilczy sznur, strojny purpurą chorągiewek, sznur, budzący mistyczny lęk w sercach rysich, lisich i wilczych...

Cicho stąpali borem, otaczając ostęp czerwonym kręgiem śmierci... Na bieli śnieżnej małe chorągiewki rumienią się, jak krwawe płatki jakichś dziwnych kwiatów, przy najlżejszych zaś powiewie trzepocą, podobne do rubinowych motyli, drgają jak pulsujące krople żywej krwi...

Już knieja otoczona, już zwierz zamknięty w obieży. Leśnicy wracają do dalekiej leśniczówki i stamtąd ślą wieści w świat, zwąc myśliwych z miasta na rysie łowy do poleskiego ostępu... Lecie wieść radosna, jak ochocza pubudka łowiecka, i głosi myśliwym: «Rysie otoczone. Przyjeżdżać zaraz.»

Jedni na głos ten czarowny odrywają się od ciężkich zajęć codziennych i mkną na spotkanie szczęścia lotnym pociągiem, marząc o rozkosznej Przygodzie, czekającej na nich w puszczy. Inni odpychają od siebie pokusę, bronią się przed nią i pogrążają w pracę uciążliwej, ażeby zapomnieć. Lecz wieść zdaleka rzuciła już czar w ich dusze... I kusi bezustanku: «Rysie otoczone. Przyjeżdżać zaraz.»

Więc jadą...

* * *

Niski księżyc wytoczył się nad puszczy i zimnym blaskiem rozświetlił jej śnieżną białosć. Na zamrzniętych błotach leśnych zapalił złote gościńce...

Zajrzał ciekawie w gęstwinę, powitał każde zwierzę, polujące o tej porze, obejrzał ciekawie każdą plamę krwi na niepokalanej bieli śniegu, uśmiechnął się do znajomych drzew... Aż nagle ze zdumieniem ujrzał w puszczy rzecz nigdy niewidziałą, tajemniczy czerwony sznur, biegnący leśnymi trybami dokoła ostępu... Zdumiał się, wznosił wyżej, by lepiej widzieć, i pobladał ze zgrozy...

Z nastaniem zwierchu rysie, śpiące pod nawisami gałęziami świerka, zbudziły się, przeciągnęły leniwie i poczuły dojmujący głód, pod którego przemożnym nakazem wyruszyły na polowanie.

Polowały zawsze w pojedynkę. Dzikie łowy ich przejmowały grozą całą puszczy. Nie ściagały zwierza wilczym sposobem, otwarciem i zawzięciem, lecz cichym, kocim chodem przebiegały las wszerek i wzdłuż, skradały się bezszelestnie po śniegu, by nagłym niespodziewanym susem spaść na ofiarę, wgryźć się w nią, zamordować...

Nie tropiły zwierza po śniegu: wzrok i słuch dawał im zdobycy. A gdy ryś chybił w skoku i zwierz uchodził mu cało — nigdy nie ściagał chybionej zdobycy, lecz rozpoczynał krwawe łowy na nowo...

Rysica-Matka nastawiła baczenie uszu: oto cichy, niedosłyszalny, zda się, bielak szelestem śniegu znaczył w puszczy drogi swojej nocnej wędrówki...

Zaczaiła się za obalonym pniem. Szelest zbliżał się coraz bardziej, aż na śnieżnej trybie, w zimowym blasku miesiąca zamajaczył jakiś blade kształt, do leśnego duszka raczej, niż do zwierzęcia podobny... Czarne uszki zdradziły ofiarę.

Ryś począł cicho na brzuchu skradać się ku zdobycy... Tak był w nią zapatrzony, iż się na odległość paru skoków, zebrał się w sobie i dał potężnego susa jednego — drugiego — trzeciego, i nagle...

Bielak zniknął jak duch, ryś zaś w rozpędzie wpadł na wyprężony sznur, który załopotał czerwieni chorągiewek... Zwierz zwinął się z przerażenia, zahamowany w półskoku, wyrzucił kozła, poczem szybko podniósł się i w łęku umknął w bór...

Tajemnicze zjawisko napelniło go trwożą, nieustraszony władca kniei, który śmiało atakował jelenia — przeląkł się dziwnego straszaka... Uciekł więc co sił, byle dalej, byle dalej, byle głębiej w puszczy... Milami lecieć przez białe bory i nigdy nie wracać do przeklętego ostępu z łopocącą czerwoną zasadzką.

Lecz na drodze leśnej, przez którą prowadził rysie szlak, dążący ku dalekim i bezpiecznym lasom, w blasku księżycy pojawiło się znowu straszliwe widmo, przejmujące grozą serca zwierzęce... Znowu ten sznur przeklęty, podobny w bezruchu do strugi zakrzepłej krwi...

Przestrach opanował leśnych mieszkańców, zamkniętych w zaczarowanym kole. Tylko zające, tchórze okryczane, bez lęku przesadzały sznur podczas miłosnych harców przy księżycu.

Rysie zaś — wszystkie trzy — biegały w popłochu tam i zpowrotem, jak w klatce, natykając się ciągle na czerwoną zaporę, jak na kratę, aż wreszcie zaległy w sercu otoczonej zewsząd kniei.

Skoro świt zaróżowił śniegi i rozpalił diamenty na gałęziach drzew, Matka-Rysica, jakgdyby pod wpływem nagłego przebłysku myśli, powstała i poczęła zbliżać się ku sznurom... Młode poszły za nią...

Mądry zwierz zrozumiał, iż pozostanie w groźnym, otoczonym zewsząd ostępie — to śmierć. A że przywiązany był do życia, jak wszystko w puszczy, od zwierzęcia poczwawszy, a skończywszy na małym kwiatku leśnym — postanowił tej śmierci uniknąć.

Zwalczając mistyczny lęk, wielki kot sadił śmiało ku sznurom — aż, rozpędziwszy się, potężnym susem przesadził czerwoną zaporę. Był znowu wolny w wolnej puszczy. Uczuł beżmierną radość dzikiego stworzenia, które się wyrwało z klatki... Nigdy jeszcze puszcza nie wydawała mu się tak piękna. Byle nie oglądać się za siebie... Byle nie zobaczyć straszliwej czerwieni gróźnych płacht...

Lecz nagle za sobą woddali Rysica posłyszała bolesne, ciche miauczenie. To młode rysie, przerażone śmiałością matki, wzywały jej pomocy...

Zawołała na nie tak, jak ongi, gdy były bardzo małe i bezbronne. Zawołała na nie tak, jak w owe dni dawne, kiedy je zwoływała do świeżej, drgającej jeszcze zdobycy... Bezskutecznie...

Wówczas najlepsza z matek zdobyła się na bohaterstwo. Bez wahania wróciła do przeklętego miotu, przeskoczywszy zpowrotem sznur, aby wyprowadzić swe dzieci na swobodę...

I zaczęło się żmudne, cierpliwe, uparte podprowadzanie młodych rysie do sznurów. Najpierw szły śmiało. Ale w miarę zbliżania się do straszaków opuszczała je odwaga...

Czołgały się, pelzły na brzuchach po śniegu... Przywarowywały, dygocąc z lęku. I trwożliwie, jak zbite psy, umykały zpowrotem w krzaki...

Trzy razy Rysica podprowadzała je pod sam sznur, uspokajała ocierała się o nie miłośnie, mruzczała tkliwie, prychała groźnie aż wreszcie śmiałym susem przesadzała groźną i budzącą w niej lęk zaporę... A wówczas młode czołgały się po śniegu w las — zpowrotem.

Coraz straszliwszy niepokój przepełnił serce Matki. Zrozumiała bolesną prawdę, że młode rysie nie dadzą się wyprowadzić z obieży... Niepokój jej rósł z każdą chwilą. W oczach zapaliły się zielone ognie... Wyprężony ogon wskazywał najwyższe napięcie nerwowe...

Podprowadziwszy młode rysie do straszaka, poczęła powoli popychać je ku sznurom. Pełnym rozpaczy wzrokiem starała się pociągnąć dzieci za sobą. Daremnie.

Nie zwracały na nią żadnej uwagi, urzeczony widokiem krwawych strzępów.

Skoczyła wreszcie. Potrąciła przytem sznur, który zakolysał się i załopotał. Wówczas młode rysie uciekły, jak oparzone, i zginęły w białej gęstwinie.

Czekała. Odezwała się — i czekała znowu. Miała jeszcze nadzieję, że wróca...

Gdy zaś nie wracały, powoli, przystając i oglądając się z rozpaczą poza siebie, zdążać poczęła w las... Cisza była niczem niezamąconą w białej, roziskrzanej w słońcu puszczy... Ani dzięcioł nie zapukał, ani jastrząb nie zakwilił w błękicie. Bór nigdy nie jaśniał taką dziką urodą.

Rysica uchodziła w biały las coraz szybciej — i zaznawała coraz większej rozkoszy z odzyskanej wolności...

Nagle... w milczącej puszczy ozwał się głos myśliwskiej trąbki. Targnął świętą ciszą zimowego boru — napelnił oniemiałe z lęku gęstwiny — uderzył w błękit, głosząc radość lowcom i śmierć zwierzowi w kniei...

Uchodzący z ostępu Ryś przystanął. Zrozumiał, że nadeszła chwila wyboru między dziećmi, a wolnością... Kochał dzieci miłością pierwotną i ukochał dziką wolność w borze. Pełen bólu wzrok zwracał za siebie, gdzie zostawił młode rysie w otoczonym chorągiewkami ostępie, to znów z bólem spoglądał przed siebie na ukochaną puszcę. Jedno z tych dwojga trzeba było pożegnać na zawsze...

A wtem trąbka odezwała się po raz drugi donośniej i rozgłośniej. Zakrzyknęła naganka. Łowy rozpoczęto.

Rysica przestała się wahać. W ruchach jej znać było teraz nieodwołalne postanowienie. Wybrała swoje większe kochanie. Nawróciła ku niebezpiecznej kniei, gdzie na nią czekały jej dzieci — i śmierć.

Bieg jej stawał się teraz coraz szybszy. Wielkimi susami sadziła wprost ku trybie, na której rozpięto sznur. Przeskoczyła straszak i — zniknęła w gróznym ostępie...

6. SONET DO MATKI

Pod Twoim wzrokiem matko, jak pod wielkim cieniem,
Za który oddam chłody całej flory świata —
Wyrasta moja miłość i w Ciebie się wplata
Jak drzewo w głębię ziemi idące korzeniem.

Pierś moja się podnosi wraz z Twoim westchnieniem,
A z Twoim niepokojem sen z powiek mych ulata,
Tak oto, co dni wzięły, oddają nam lata

Znów na dźwięk Twego głosu staję zamyślony,*
Jak zgiełk cichnę, jak wieczór w Twe oczy zapadam,
Przed samym sobą w Tobie szukając obrony.

Znowu dłonią najdroższy zarys twarzy badam,
A pod palcami smutek znajdując rzeźbiony,
Już o nic nie pytam, nic nie odpowiadam.

7. PRZERWANA PIEŚŃ

Gdy słońce lutowe uśmiechnęło się jednym z tych czarodziejskich uśmiechów, jakimi obdarza tylko swoją dziewczącą kochankę-Puszczę, Stary Kogut szumnym lotem przybył na mszarne takowisko i zasiadł z rozgłośnym grzmotem skrzydeł na wyniosłej sośnie, na tej samej gałęzi, gdzie śpiewał minionych wiosen...

Wszystko było dokoła — po dawnemu... Śnieg tylko pokrywał jeszcze leśne bagno, które dopiero słońce powoli budziła do nowego życia swoją czarodziejską pieśnią...

W jaskrawym blasku skrzyła się śniegowa biel tysiącem żywych ogniów... Modre cienie tulily się u podnóża sosen... Każde wgłębienie gruntu pełne było błękitu, każda ośnieżona kępa płonęła złotem... Omszałe, osiwiiałe od śniegu kłody i pnie obalonych drzew wmarznięte były w mleczno-żółte zwierciadło lodu.

Zima jeszcze gościła na uroczysku. Ale już mroźnym powietrzem przeciągały od czasu do czasu cieplejsze prądy, jak pierwsze, nieśmiałe jeszcze przeczucie nadchodzącej wiosny... Wówczas na leśnym bagnie tajać poczynął śnieg, i cicho wśród lodu szemrał strumyczek płynącej wody...

Stary Kogut spłynął na ziemię, rozpuścił wachlarz i chodził po śniegu majestatem, dumnie, godnie, « kreśląc » na nim bruzdy opuszczonymi skrzydłami... Puszył się przytem, jak indor, błyskał złoto-zielonym pancerzem lśniącej piersi, wzdymał szyję i dreptał gniewnie, jakdyby szukając rywała... Ale rywała nie było.

Uśmiechało się dobrotliwie lutowe słońce... Radowała się przyjaźnie Puszcza. A Wiosna szła po śniegu, który tajał pod jej promiennymi stopami...

* * *

Po paru dniach za starym tokowikiem podążały młode. Zawrzały uparte, nieustępliwe walki o miejsca godowe.

Głuszcze zlatywały teraz na tokowisko po zachodzie słońca, gdy puszcza ciemniała i tylko smukłe pnie brzoź znaczyły się jaskrawą bielą w mroku. Z głośnym łopotem zapadały w sosnowym borze na uroczysku. Pierwszy przybywał zawsze Stary Kogut... Zapadłszy, głośno krechtał... A kiedy mrok ogarniał las, gdy w księżycowym, zimnym blasku jaśniało bagno, jak srebrne zwierciadło z bajki, Stary Kogut usypiał na swej odwiecznej gałęzi. Cisza była dokoła niczem niezmacona, tylko czasem gdzieś w głębi boru rozlegał się okrzyk bojowy polującego puhacza...

* * *

Skoro śniegi stajały i melodyjna pieśń drozda rozległa się o świcie, gdy leśne mokradła zajaśniały pierwszym kwieciami, o poranku kwietniowym w sercu puszczy zabrzmiała po raz pierwszy tajemnicza pieśń. I tak jak przedświt wiosenny był czemś na granicy nocy i dnia, tak pieśń ta dziwna rozdziła się na granicy dźwięku i ciszy...

Polaly się tony czyste, srebrzyste, do kapania kropel perlitych podobne, przechodząc w drewniany stukot, zakończone skrzypiącym szmermelem.

Zasłuchała się puszcza w pieśń czarowną. Wstrzymały szumny oddech drzewa stuletnie. Wspomniały minione wiosny i minione radości...

Mrok sosnowego boru coraz bardziej przesiąkał światlanem przecuciem zbliżającego się świtu...

A głuszcę grał... Lecz baczył pilnie, by go wróg żaden nie zdybał w miłosnej ekstazie. Skoro tylko gałązka trzasnęła, gdy sucha szyszka padła na ziemię, słonka zachrapała, zabrzmiał hejnał żórawi, lub kozioł gniewnie zaszczekał — wówczas przerywał pieśń... Kłapał... I znów przerywał, nie dochodząc do « głuchego » akordu — jakgdyby świadomy swej niemocy.

Z namiętnem kwoktaniem nadlatywać poczęły na tokowisko rdzawe głuszyce, złote miłośnice leśne...

Kogut rozpoczął wówczas przerwany śpiew. Chwalił wolne miłowanie w leśnej kniei o wiosennym poranku, a one mu wtórowały:

« Tak... Tak... Tak... »

* * *

Gdy słońce wieczorne pochyliło się na niebie i purpurowy zachód rozgorzał za czarnymi czubami sosen, skupioną, dostojną, ciszę boru zamącił głośny pochód jakichś istot po leśnym uroczysku... Zdaleka już nietrudno było zgadnąć, iż tak niezdarnie iść może jedynie « król stworzenia » — człowiek, i to człowiek « z miasta », którego każdy krok w puszczy jest dysonansem, każde słowo — zgrzytem, a każdy czyn — świętokradztwem... Leśni bowiem ludzie, gajowi i urodzeni łowcy, ukochawszy dziką przyrodę — stają się zczasem jej przyrodzoną częścią...

Dwie ludzkie istoty przedzierały się bagnistą trybą ku głuszcowej ostoi... Myśliwy « z miasta » zapadał się przytem po kolana w bagnie, kłął straszliwie, ślizgał się po « kładkach »... Gajowy — człowiek leśny — siedł cicho, lecz zato głośno kaszłał, co wprawiało we wściekłość « miastowego myśliwca ».

Gdzieś w gęstwinie począł gniewnie szczebrać spłoszony kozioł... Ludzie dotarli do starego sosnowego wywrotu. Gajowy wskazał ręką w kierunku gałęzi, na której co wieczór zapadał Stary Kogut, najdostojniejszy śpiewak puszczy...

Poczem począł kaszlać — osłaniając rozpaczliwie usta dłonią... Myśliwiec dał mu znak, by odszedł. Przeklętym kaszlem spłoszy głuszcę. Gdy się ściemni, niech tu przyjdzie, wróć razem do ogniska. Gajowy oddalił się, jak cień, i rozplynął niemal bezszelestnie w ciemniejszej już puszczy... Myśliwiec z miasta uczuł lęk i żalować począł, ponieważ, iż tak lekkomyślnie odprawił towarzysza...

Księżyc wypłynął tymczasem na niebo, jak złota łódź... Leśne mokradła zajaśniały widmowym blaskiem... I nagle w ciszy, niezmaconej żadnym głosem leśnym, rozległ się grzmiący łopot Starego Koguta, który z dziennego żerowiska przybywał na miejsce noclegu i godów porannych... Siadł z ogłuszającym łomotem skrzydeł na starej sosnie i zakreślał wyzywająco. Przesiadł się na swoją odwieczną gałąź i zakreślał znowu.

Po chwili z łopotem i trzaskiem skrzydeł przebywać poczęły na tokowisko inne głuszcze i sadowić się, i krekać, i przesiadać z gałęzi na gałąź. Nie śpiewał jednak żaden...

Cicha noc rozpostarła nad niemi swoje gwiazdziste skrzydła i ukołysała je powoli do snu.

Z zapartym oddechem wsłuchiwał się myśliwiec w odgłosy puszczy. Strach go przytem ogarniał coraz większy. Wspomniał wszystkie opowieści o bandytach, wszystkie baśni o upiorach... Las stawał się groźny — i pełen nienawiści do intruza, który śmiał wdrzeć się do « jądra gęstwiny ». A leśnik nie nadchodził.

Tymczasem ściemniło się zupełnie. Bagno w księżycowej poświacie jaśnieć zaczęło blaskiem niesamowitym... Myśliwemu włosy na głowie powstały z przerażenia: posłyszał czyjś ciężki chód i chlupot wody... To nie były bezszelestne kroki leśnika...

« Kto idzie ? » — spytał zamierającym głosem.

Ale odpowiedzi nie było.

Człowiek uczuł przerażenie...

Ciężkie kroki zbliżały się ku niemu... W przesłoniętej mrokiem gęstwinie nie można było dojrzeć, kto nadchodzi...

— Bandyta — pomyślał myśliwiec, poczem zawołał:

« Stój ! bo strzeż ! »

Odpowiedzi nie było i tym razem, więc strzelił. Coś ciężkiego z łomotem zważyło się na ziemię. Załopotwały w sosnowych czubach skrzydła głuszcowe. Stary Kogut na odgłos strzału zbudził się ze snu i, łomocąc skrzydłami, odleciał ku spokojniejszemu ostojom... Porwały się i inne głuszcze, ulatując w mrok czarnej puszczy...

Myśliwiec zaś bez ruchu, tamując oddech, czekał, aż na odgłos strzału przyjdzie po niego leśnik, który zapewne zbłądził... Ale czekał daremnie. Leśnik nie nadszedł. Czekał całą noc, całą długą noc... Aż powoli świtać mu w głowie poczęła okropna myśl, którą odpędzał od siebie, jak jadowitą żmiję: « Zabiłem człowieka !... » Myśl ta stawała się pewnością. Leśnik nie nadchodził — a zatem leśnik zginął. Został zabity. Przez niego ! Jest więc mordercą ! Zbrodniarzem ! Włosy zjeżyły mu się na głowie, i oblał go zimny pot ze zgrozy.

* * *

Nocą w lesie działy się straszne rzeczy. Jakies krzyki, jakies jęki, jakies śmiechy. Nasz myśliwiec osiwił z przerażenia...

O błym świcie ruszył w kierunku strzału. Na ziemi leżała — krowa. Swojska, zabłąkana w lesie krowa...

Zaś na uroczysku dalekiem, gdy przebrzmiała melodyjna wrzawa żórawi, trębaczy poranku, gdy cietrzewie bełkotały popłynęły z mszarów, a słonki chrapać i poświstywać zaczęły nad olchowym smugiem — Stary Kogut, na nowym tokowisku rozpoczął swój śpiew niepożyty, jak sama Puszcza, głoszący pochwałę życia, lasu i wolnej miłości.

Zaś głuszyce, wiecznie spragnione pieścizot, rdzawe miłośnice, wtórowały mu zgodnie:

« Tak... Tak... Tak... »

A Wiosna nic nie mówiła, ale myślała to samo.

8. WRÓBEL

Kochany wróblu mój, obywatelu
Czterech pór roku i świata całego,
Bywalcze wszystkich dróg, co wzdłuż pól biega
I wszech podwórek włóczego bez celu !

Niechaj cię moce Opatrzności strzega,
Że mnie nawiedzasz, szary przyjacielu,
Których na ziemi tej jest tak niewielu,
Że, kiedy zliczyć ich, niema żadnego.

U okna mego siadasz w zmierzchu zimy,
Co mą samotność i pustkę rozszerza,
« Cierp, cierp, cirp » ćwierkasz i cierpliwie cierpię.

Patrzę na dachy i kominów dymy
I wieszam serce, jak lampę przymierza,
Nicią tęsknoty na księżycu sierpie.

9. PIEŚŃ

Połamało się wszystko, strzaskalo,
Rozum, myśli i dusza i ciało
Ale przecież coś kotłuje,
Coś wre, kipi, fermentuje,
Coś innego, nowego się stało !

Precz żalobo czarna, co oniemiasz
Pieśń radosną i smutki rozplemiasz !
Choć na ciele blizny, guzy,
Odwiń rękaw, usuń gruzy,
Ty, co siedzisz i łkasz, jak Jeremjasz.

Odwróciła się ogromna karta,
Odwróciła się albo wydarta
Jest na zawsze i na wieki !
Nie pomogą żadne leki !
Napiszemy więc nową, do czarta !

Mam dość smutków ! Mam dosyć żalości !
Pan Bóg także tworzył z nicości !
A obdarzył ludzi rajem,
Co był przecie ziemskim krajem
Niewinności, młodości, radości !

Że źle poszło Adamowi, Ewie,
Winny jabłka zbyt słodkie na drzewie...
Przyszedł potop... Ale Noe,
Pijąc, śpiewał w głos Ewoe !
I ocalał w powszechnym zalewie.

Gdy opadły z Ararat wody,
Pieśń odkwitła i winne jagody !
Sadźmy pańskie wkrąg winnice,
Pieśnią wino ich zaszczycę
W nowej Kany Galilejsiej Gody.

10. PRZYSŁOWIA MYŚLIWSKIE

Kto idzie na niedzwiedzia, gotuj łóżko, kto na dzika — mary.

Rusznica, jako chleb, zawsze się przygodzi.

Koń swawolny, broń tępa, rusznica niepewna do potrzeby niedobre są.

Koń wymorzony w drogę, chart odkarmiony w pole, mieszek czysty do targu — wszyscy niewiele sprawią.

Włóczy się za nim państwo, by za sarną ogon.

Wysilił się rozum, by sarna w ogon.

Z szwagrem na zająca, z bratem na niedzwiedzia.

Lepszy wróbel w ręku, niż cietrzew na sęku.

Na zająca z rarogiem, na sarny z sieciami, na kuropatwy z jarząbkiem — najpewniejszy łów.

11. PIEŚŃ MYŚLIWSKA

Otóż ponowa, zawołaj myśliwych,
Boć to jest dla nas ten dzień szczęśliwych,
Niech sforują pieski nasze.
Pojedziemy na objaszę. †

Idźże ty, chłopcze, puszczaj że sfory
Psy, a zaciągaj zdała dogóry;
Ja tu będę stał na tropie,
A dojeżdżaj dobrze, chłopie.

Śłuchaj — podobno Iska tam stawa,
Wisła trafia, Hałas poprawia;
Ktoś tam strzelił rycht do capa,
To go pewnie zaraz złapa...

Otrąbcie na psy, i daj odprawę. †
Ależec słyhać truskot † i wrzawę!
Huku, puku, pilnie bieży,
I strzeliłem, i już leży.

Trąb podjezdnego, niechaj się schodzą,
Niechaj daremnie śniegu nie brodzą.
Jaki taki do flaszeczki:
Dul, dul, dul, dul, gorzałeczki.

* Na objechanie kniei.
** Odprava — pokarm dla psów.
*** Truskot — szmer, trzask.

12. WIECZORY ZIMOWE W DAWNYCH CZASACH

Styczeń był mroźny, ale suchy; zima tęga przykryła ziemię świętą grubym na łokieć, białym kożuchem; lasy gięły się i łamały pod obfitą okiścią, śnieg olśniewał oczy w dzień przy słońcu, a nocą przy księżycu migotały jakoby iskry niknące po stężalej od mrozu powierzchni; zwierz zbliżał się do mieszkań ludzkich, a ubogie szare ptactwo stukalo dziobem do szyb, szedzia i śnieżnemi kwiatami okrytych.

Pewnego wieczora siedziała panna Aleksandra w izbie czeladnej wraz z dziewczętami dworskimi. Dawny to był zwyczaj, że gdy gości nie było, to z czeladzią spędzali wieczory, śpiewając pieśni pobożne. Tak też czyniła i Panna Aleksandra, a to tem łacniej, że między jej dziewczkami dworskimi same były prawie sieroty bardzo ubogie. Te robotę wszelką spełniały i przy paniach służebnemi były, a wzamian za to ćwiczyły się w obyczajności, lepszego doznając od prostych dziewczek traktowania.

Panna Aleksandra wraz z krewną swoją siedziały w pośrodku, a dziewczęta po bokach na ławach; wszystkie kądziel przedły. Na potężnym kominie, ze zwieszonym okapem, paliły się kłody sosnowe i karpy, to przygasając, to znów strzelając jasnym, wielkim płomieniem lub iskrami, w miarę jak stojący wedle komina wyrostek przyrzucal drobniejszych brzeźniaków i luczywa. Gdy płomień strzelił jaśniej, widać było ciemne, drewniane ściany ogromnej izby z nadzwyczaj niskim, belkowanym sufitem. U belek wisały na niciach różno-kolorowe gwiazdki, uczynione z opłatków, trzęsące się w ciepłe, a z za belek wyglądały motki czesanego lnu, zwieszające się na obie strony, jakby tureckie zdobyczne buńczuki. Cały niemal pułap był niemi założony. Po ścianach ciemnych błyszczaly, jakoby gwiazdy, statki cynowe, większe i mniejsze, stojące lub poopierane na długich półkach dębowych.

W głębi przy drzwiach kudłaty chłop huchał gwałtownie żarnami mruczając pod nosem pieśń monotonną, panną Aleksandra przesuwala w milczeniu paciorki różańca, prządki przedły, nie jedna do drugiej nie mówiąc.

Światło płomienia padało na ich młode, rumiane twarze, one zaś z rękoma wzniesionemi ku kądzielom, lewą podszczypując len miękki, prawą kręcąc wrzeciona, przedły gorliwie, jakby na wyścigi. Czasem też spoglądały na się bystremi oczkami, a czasem na pannę Aleksandrę, jakby w oczekiwaniu, rychło chłopu mleć zakaże i pieśń pobożną rozpocznie; ale z robotą nie ustawały i przedły; wily się nici, warczały wrzeciona...

13. KOLENDA

Niedobrze się, niedobrze dzieje w mgłach, w dżdżach zimy !
Myśl mamy złą, markotną, niemrawą, stroskaną,
Lecz dziś, gdy Gwiazdka błysła, w głos zgodnie nucimy:
Oj, siano ! Oj, siano !

Niedobrze jest, niedobrze ! Brud, błoto, ulewa...
Patrzmy, co się dzieje, i w lęku truchlejem.
Lecz uparta nadzieja dziś w duszy nam śpiewa:
Betlejem ! Betlejem !

Noc dzisiaj się przesila, noc najdłuższa w roku.
Może się też przesili męka, co nas nęka ?
Zawodzim co sił w płucach, z dzikim ogniem w oku;
Stajenka !!! Stajenka !!!

Wybacz, Dzieciatko drogie, najmilejsze z dzieci !
Grzesznicy ! Wszyscy winni ! Aleśmy nie zwierze.
Duszę tobie oddajem, jak mienia ostatek
Pasterze, pasterze !

Mędrcy-ć przynieśli mirrę, złoto i kadzidło,
A my, od wilków gorsi ? Nie damyż nic tobie ?
Czyliśmy to podlejsi i gorši, niż bydło:
Wół z osłem przy żłobie ?

Czyż gorsiśmy niż wszystkie pogany, celniki,
Judasz, faryzeusze i jawnogrzesznica ?
Dziwię się, że cię proszą, za nami grzeszniki,
Józef i Dziewica !

Pokaż-no, Panie Jezu, żeś Pan nad Panami !
Żeś darmo się nie rodził, żeś tu nie przybłęda !
Czy chcemy, czy nie chcemy, zrób porządek z nami !
Kolęda ! Kolęda !

V. BETLEJKA WILEŃSKA

Osoby I odsłony:

Najświętsza Panna.
Święty Józef.
Anioł Gabriel.
Ślepa.
Trzy Cnoty: Wiara, Nadzieja, Miłość.
Siedem Grzechów: Pycha, Łakowstwo, Nieczystość,
Zazdrość, Gniew, Obżarstwo, Lenistwo.
Belzebub.
Sześciu Aniołów — Sześciu Szatanów.

Odsłona II:

Trzy Anioły.
Czterech Pastuszków: Jaś, Józik, Antoś, Bałtruk.
Stary Pasterz.
Dziad — Zakrystjan.
Józefuoweczka.

Odsłona III:

Herod. Marszałek. Djabel. Śmierć.
Para Krakowiaków.
Mazur i Mazurka.
Kuba i jego luba.
Góral.
Poleszuk (Anton) z kozą.
Litwinka.

Odsłona IV:

Trzech Królów.
Trzech Aniołów.
Czterech Pastuszków.
Stary Pasterz.

NASZA SZOPKA

(Scena przedstawia krajobraz nieuradzanej okolicy, kilka skał, palmy, kaktusy, od prawej strony wchodzi w szarych, ubogich szmatach ślepa dziewczyna: idzie powoli, jest bardzo znużona.)

ŚLEPA *(staje i nasłuchuje)*:

Tam źródło ożywczej wody... Dolata mię jej wołanie, przyjazne trudom podróży... O jasna, dobra i czysta! Krynico, co dajesz życie strudzonej długą wędrówką... Zawołaj że mię raz jeszcze, niechaj twój głos kryształowy wskaże mi nurt twój przezroczy, którego nie dojrzą oczy... *(idzie pochyla się i pije czerpiąc dłonią)*. Zamknięte na cuda świata, o którym mówią że cudny, me oczy nigdy, przynigdy jasności nie oglądały... Słonecznych blasków pozłota, to co błękitem zwą nieba, to, co pięknnością człek zowie... ja nie wiem, nie wiem nic o tem... Wielka, niezmierna ciemność źrenice moje otula, od chwili gdy mię nieboga, matka na świat ten wydała... Ślepam na sprawy ziemskie, kaleką ludzie mię zowią, i dziwią się niepomału, że uśmiech na twarzy mej gości... O biedni! Ślepi to oni! Ja widzę dziwne zdarzenia, to co przed nimi zakryte, to w mej się jawi ciemnicy...

Zawsze przedziwne postaci w słonecznej widzę otoczy,
Zawsze gdzieś kroczą przedemną i ślepe me wabią oczy,
Wiem że je spotkam, powitam, że poznam je niewidząca,
Bo jestem dusza człowiecza, błądząca i szukająca...
Wiem że to będzie rodzina, jedyna na całym świecie:
Starzec, Dziewica Maryja i boże, cudowne Dziecię...
Więc krocze ciągle przed siebie, wciąż idę dalej i dalej,
Bo wiem że ich spotkam wreszcie, i wtedy Bóg mię ocali!
Lecz czasem znużenie wielkie łamie mi nogi i ręce,
I wtedy noclegu szukam, choćby w ubogiej stajence,
A czasem drzewa szumiące dachu nad głową użyczą,
I wtedy zasypiam śniąca, a sny mię karmią słodyczą...

Siada na złomach skał na uboczu i zasypia, nadchodzi z lewej strony Święta Rodzina, Św. Józef wspiera znużoną Najśw. Pannę, za nimi idzie Archaniół Gabriel z kwiatem lilji w dłoni, staje na przedzie sceny i mówi:

ARCHANIÓŁ GABRIEL:

Oto zmęczona zdaleka idzie Najświętsza Rodzina. Oto nadchodzi godzina, jakiej nie będzie drugiej, aż świat się w niwecz obróci. Oto po nocy długiej, spełni się słowo boże. Oto się staje ciałem by wśród ziemniano zamieszkać! Oto jest z pnia dawidowego różdżka co lilją kwitnie białą. Oto Maryja zrodzi Syna-Boga co ludzkie weźmie ciało. Błogosławiona łaski pełna, Maryja czysta jako kwiat. I owoc łona Jej jest święty, i męką swoją zbawi świat. A wszystek ból i wszystkie winy, boską miłością swą otoczy, i na najsrozsze ludzkie czyny swe miłosierne spuści oczy. I gdy złość świata, wojny, zbrodnie

cierniem Mu serce w krąg oplotą, On ofiaruje mękę co dnia by duszom dać zbawienia wzloty.

(Anioł staje za Najświętszą Rodziną i osłania Ją lilją.)

ŚW. JÓZEF:

Marjo, Dzieweczko boża, uczyn jeszcze wysilek, jeszcze kilka kroków, może nie-bawem znajdziemy przytułek choćby w jakiej grocie, kędy pasterze stada swe od burzy chronią. To co dobrem jest dla matki jagnięcia, zda się i Tobie, Matko Baranka Bożego, które w łonie swem piastujesz.

MARYJA:

Zda mi się, że świat cały dźwigam, opiekunie mój drogi, zda mi się, że wszystek ból i cierpienie świata targa mi serce, a zarazem wszystka radość i wesele opromienia boskiem rozradowaniem. O zaiste, Bóg wybrał mię za narządzie straszliwej tajemnicy, przed którą trwożę się w pokorze i słucham głosu Stworzyciela, a nie wiem co mi rozkaże!

ŚW. JÓZEF:

Upadasz za znużenia Marjo, Betlejem pełne pielgrzymów, nie dało nam w swych murach przytulku, nawet u ludzi, którzy Boga wzywają ustami, ale nie mają, Go w sercach. Poddajemy się Jego wyrokom i niech nas prowadzi anieli!

MARYJA:

Na chwilę daj mi tu spocząć, Józefie, niech ziemia, rodzicielska wszystkiego co kwitnie i rośnie, da mi moc znoszenia mego boskiego ciężaru, niech zapach ziół i drzew orzeźwi mię i wzmocni aromatem, a rosa wieczorna zeszkle wargi i dłonie orzeźwi.

(Anioł pochyla lilje.)

ŚW. JÓZEF:

Usiądź święta Dzieweczko, ziemia Judei jałowa jest i uboga, lecz Bóg wybrał ją na ziemską Ojczyznę swego Syna, który Bogiem i najuboższym Człowiekiem ma być zarazem. Wrychle się spełnią czasy i proroctwa objawione mędrcom, Zbawiciel zbliża się do świata, który Go niebacznie odtrąci, a mimo to odkupione będzie, jako ojcowie obiecywali. Niepojęte się spełnią wyroki! Ziemia cała drży pod Twemi stopami Marjo, ziemia cała trwoży się i raduje, właśnie jak matka, która ma zrodzić.

MARYJA:

Bo matką miłującą jest zaiste ziemia rodzinna człowieka. Ziemia, z której wyrasta kłos żytni na chleb powszedni i kwiat ku rozweseleniu oczu, i bujny winograd, i badył lichy dla oślecia, i jagoda dla ptaka wolnego. Ziemia... da wszystko swym dzieciom jeśli się na niej miłują i waśniami nie szarpią jej i siebie...

ŚW. JÓZEF:

Pokój ludziom dobrej woli...

MARYJA:

Teraz i na wieki...

ANIOŁ GABRIEL:

Teraz i na wieki wieków. Amen.

ŚW. JÓZEF:

Patrz, cóż to za poczet zbrojny i rojny ku nam się toczy? Hałaśliwy jest i niesforny. Cymbały i fletnie niezgodne wydają dźwięki, a pijane okrzyki im towarzyszą. Uchodźmy im z drogi...

MARYJA:

Pozwól, przeciwnie, zastąpić im drogę w ich pochodzie ku miastu.

ANIOŁ GABRIEL:

Czy mam ująć miecz ognisty w dłoń i zwołać Moce niebieskie i Trony? *(Maryja giestem zaprzecza)*

(Wchodzi siedem grzechów głównych odzianych we wspaniałe szaty, twarze znudzone i złe.)

PYCHA:

Cóż to za żebractwo śmie mi się nasuwać na oczy i wspaniałość mego pochodu wstrzymuje? Pacholki, odegnąć tę hołotę! Niech mej władzy nie urąga jej widok nędzny!

ŁAKOMSTWO:

Zaiste! Po co to się włóczy? Po co istnieje na świecie? Nic z nich skorzystać, żadnego z takich nie wyludzić pieniądza. Jeszcze obedrzeć mogą, lubie zabrać grosze! Nie zatrzymujmy się, prędzej, prędzej do miasta, tam pieniądze, pieniądze, pieniądze...

NIECZYSTOŚĆ:

Tak, prędzej prędzej do miasta, nie zwracajcie uwagi na tych nędzarzy. Idźmy tam, gdzie nas czekają hulanki, swawole, rozpusta! Pokażemy temu miastu jak my żyć umiemy! Nauczymy używać życia.

OBŻARSTWO-PIJAŃSTWO:

I picie, picie i jadło w obfitości! Kiedy mózg zatopi spirytus, wszystko nam się wyda możliwe, uwierzmy, że my rządymy światem że wszyscy ludzie są naszymi niewolnikami, wtedy może i żebrakom grosz rzucimy zbyteczny.

ŚW. JÓZEF:

Możni i potężni tego świata, czy zechcecie się zlitować nad ubogą rodziną, która szuka noclegu i nie może inaczej za dach nad głową wynagrodzić jak błogosławiąc dobroczyńców.

GNIEW:

Precz mi z drogi, wstrętne żebraki! Nie wiem co mię powstrzymuje by nie kazać was strącić w jar głęboki, żeby z kości waszych sępy ciało odarły. Precz! Idźmy dalej.

ZAZDROŚĆ:

Czemu się niemi zajmujesz? Po co zwracać na tę nędzę uwagę? Dziwnie wyglądają. Są, zdaje mi się, że są piękniejsi od nas! Ach, idźmy nie tracąc czasu; tam w miescie tyle bogactw, tyle dostojęństw, tytułów, interesów, musimy je dla siebie zagarnąć... Do pracy!

LENISTWO:

Do pracy! O nie! Do tego mię nikt nie namówi, nienawidzę pracy, uciekam od niej, czyż nie wygodniej korzystać z cudzej? Czyż nie mamy niewolników! Oni niech za nas pracują, a my korzystajmy z ich potu i krwawicy, oni tego nie rozumieją, aaaa! (*ziewa*) Idźmyż już do jakiej wygodnej gospody, ja zdrzemnę się, a wy hulajcie sobie i zbierajcie poddanych żeby nam służyli i każdego z nas obrali sobie za króla... Uffff! jak się zmęczyłem.

RAZEM WSZYSCY:

Idźmy, śpieszmy szukać towarzyszy, śpieszmy nauczać ludzi jak mają grzeszyć; jakiś nas gna niepokój, za nami leci Możny Pan nasz, który nas wysłał na łowy, byśmy mu zwierzyńcę napędzali do sieci, ale strach nas ogarnia, że ktoś jeszcze potężniejszy jest blisko. (*Wychodzą w popłochu i popychając się.*)

ŚW. JÓZEF:

Oto obraz nieszczęsnej ludzkości...

MARYJA (*wskazując w inną stronę*):

Oto inna strona obrazu ludzkości.

(*Idą ubrane symbolicznie: Wiara, Nadzieja, Miłość, stoją trzymając się za ręce przed Marją.*)

WIARA:

Siostry, oto dziś się spełni obietnica boża zesłania na ziemię, po której harcuje szatan, Zbawiciela ludzkości. Ci co uwierzą, zbawieni będą, a takich moc niezliczoną znajdziemy, ufam w to! Wierzę! Od krańca po krańce ziemi zabrzmi Imię Chrystusa, który się dziś ma w Betlejem narodzić, by zbawić każdego w czyjem się sercu rodzić będzie aż do końca świata. Z Jego Imieniem na ustach pójdą niezliczone rzesze na śmierć męczeńską i na cichy trud codzienny, by dać świadectwo prawdy swej wierze! Tem imieniem walczyć będą o dobrą sprawę, tem słowem żyć będą społecznie, wierząc że ich zbawi.

NADZIEJA:

Amen, niech się tak stanie. Żywot ziemski wedle Chrystusa będzie obietnicą zbawienia na łonie Boga, w nieśmiertelnej i nieskończonej szczęśliwości! Nie jedno zło uczyni człowiek grzeszny, do służby szatana skuszony, niezliczone krzywdy popelni i krwawe zbrodnie, w rozpaczę się pograży jak w morzu bezdennem! Ale nigdy nie będzie mu odjęta nadzieja zbawienia, jeśli w Niego uwierzy i ukocha naukę, którą głosić będzie.

MIŁOŚĆ:

Amen, niech się tak stanie. W imię ukochania wielkiego otworzę serca ludzkie na radość Wiary i Nadzieji, prowadzić je będę waszemi drogami, siostry! Na każdym miejscu i o każdej dobie walczyć będę przy waszym boku z wysłannikami szatana, inną niż oni bronią. Ja dam szczęście ludziom. Szczęście najwyższe: Miłości. A dziecię które ma się tej nocy narodzić z tej wybranej Niewiasty, co tu spoczywa znużona, będzie Miłością największą, najświętszą, najczystsza i najpiękniejszą na świecie. Będzie ofiarą Boga, dla dusz, które umiłował sobie.

WIARA:

Pójdź z nami Dzieweczko z Nazaret, będziemy Ci wiernym orszakiem i opieką.

NADZIEJA:

Pójdź z nami Maryjo, Dziewico, służyć Ci będziemy wedle Twej woli i rozkazu...

MIŁOŚĆ:

Pójdź z nami Oblubienico Boża, uchylimy cierni z pod Twych stóp, i troski od Twej głowy.

(*Pochylają się wszystkie w głębokim ukłonie.*)

MARYJA:

Idźcie córki moje, wierne rozkazom bożym! Idźcie walczyć w Jego imieniu z temi, co tu przed chwilą byli i szli brać miasto w posiadanie. Wydierajcie im dusze ludzkie, które oni szatanowi zdobywają. Wiele, wiele was czeka trudu i pracy! Nie zwlekajcie i nie trwóćcie się. Ludzie cierpią! Czekają na was, nie wiedząc o tem. Nam, kto inny drogę ukaże.

(*Cnoty odchodzą kłaniając się nisko, budzi się ślepa nad strumieniem.*)

ŚLEPA:

Jak dziwne miałam widzenia, jakieś niezwykle postaci koło mnie szły i mówiły... Nie wiem gdzie teraz odeszły, lecz czuję jakąś obecność która mię szczęściem zapełnia! O Ty który szczęściem darzysz, o powiedź że jesteś blisko! Powiedz że już nie zbłądzę, pędzona w ciemni kolisko... Dołała mię zapach róż! Czy to poranek już!? Me blade ręce i oczy, zawarte wiecznym cieniem, owiewa tchnienie ciepła, jak słońca pierwsze promienie. Ach słyszę ptasząt głos! Czy to się nie spełnia los!!?

MARYJA:

Pójdź, blada dziewczyno, niczyja, niewidząca rzeczy tego świata. Pójdź, boże dziecię po ziemi wędrujące z kijem żebraczym i dzbankiem u sukni ugotiej. Pójdź ku Panu swemu, duszo szukająca dróg Zbawiciela, a zaiste poprzysięgam ci, że dziś Go ujrzysz pierwsza nowemi oczyma, tak pięknego, jak Go już widzujesz w swych snach niewinnych.

(*Ślepa idzie, staje niepewna, w zachwyceniu.*)

ŚW. JÓZEF:

Nie bój się dziecko, Marja z Nazaretu Cię woła, nie stanie ci się krzywda, bo nikt nie jest tak dobry i miłosierny jak Marja. Pokaż nam drogę do jakiej groty skalnej, byśmy wreszcie mogli znaleźć schronienie. Czy możesz to uczynić?

ŚLEPA:

Mogę, Mogę, Oczy me widzą przez mgłę ślepoty, prowadzi mię tuman złoty, który, czuję, rozproszy się i ukaże mi całą Prawdę objawioną! Idźmy! Poprowadzę Was tędy, trafię do ubogiej stajenki gdzie dobrzy pasterze przyjmą Was gościnnie, tak jak mnie nie raz przyjęli nie żądając zapłaty.

(*Idzie z wyciągniętymi rękami, za nią św. Rodzina, Anioł Gabriel zostaje na skale i wznosiłszy ręce w górę woła.*)

ANIOŁ GABRIEL:

A teraz bracia wzywam Was,
Na ziemię stąpcie, czas już, czas!
Straszliwy bój się wszcząć tu ma,
Idzie już na nas siłą zła.
Cheruby, duchy, Tronów chór
Zawdziejcie zbroje, pieje kur,
Do mnie!! Błyskawic miecze w dłoń!!!
Wnet tu nadbiegną! Tętni błoń,
Szatańskich kopyt słycać stuk,
Stójcie tu przy mnie z nami Bóg!
Gdy na nas następuje czart,
Pieśnią wzmocnijmy duszy hart.

(W czasie jego wezwania zstępują z skał, zgóry tak by się zdawało że zlatują z nieba aniołowie, w liczbie sześciu i schodzą razem z Gabrielem na stronę, kędy odeszła Najświętsza Rodzina. Stają w szeregu. Z przeciwnej strony nadbiegają szatany mają miecze czerwone w rękę.)

BELZEBUB:

Gdzie, gdzie, gdzie boska Dziecina?
Gdzie, gdzie Panna rodzi Syna!
W lot, w galop, ma zgrajo wściekła,
Na ziemię lecimy, z piekła!
Niszcz, pal, szarp i zatruwaj,
Złem wciąż człowieka skuwaj,
Pędź, leć, hej, za mną dalej
Ścigając Boga z złości szalej!
Co On zbuduje, ciągle psuj,
Depecz kopytami hufcu mój.
Choć beznadziejny jest nasz trud,
Dręczmy i męczmy Jego lud!
Dalej, hej, naprzód, niech nasz miecz,
Rozbije huf anielski precz!!!!

Kurtyna.

Odsłona I-sza

(Ten sam krajobraz. Anioły stoją na skałach. Przed podniesieniem kurtyny słycać śpiew kolędy: « Bóg się rodzi ».)

ANIOŁ I-szy:

Ludzie śpią
Pomęczeni biedni oni!
Patrz, jak każdy głowę kłoni
W ciężkiej doli,
I w niewoli,
Oni są.
Dolą złą.
Przywaleni jak kamieniem.
Słuchaj, modły swe z westchnieniem,
Sen żalony,
Trud nieznośny,
Niebu ślą.

ANIOŁ II-gi:

Bóg tu nas
Niebieskimi zesłał szlaki,
Byśmy wszyscy hymn jednaki
Zaśpiewali,
I wołali:
Wstawać czas!

(Aniołowie mówią razem i powoli.)

Świecie! Ludzie! Ziemi twory!
Nieba lśniące gwiazdozbiory!
Piekło, drżące w swej głębinie!
Stójcie! Chór anielski płynie,
W nieskończoność płynie wieść,
Narodzinom Boga cześć!
W zorzy blask,
Nowych łask,
Spłynie cud,
Budźcie lud!

(Aniołowie śpiewając kolędę « Cicha noc, święta noc » znikają. Pastuszkowie budzą się, przeciągając powoli.)

JÓZIOK:

Jakieś śpiewy tu słycałem,
Czy to sen anielski miałem?

JAS:

Prawda! Było słycać głosy
Śpiewające pod niebiosy?

BALTRUK:

Ech, to tylko się zdawało,
Wszak to człowiek śpi niemało.
Ot ja śniłem, że parsiuka
Piekleń sobie! Taka sztuka!
Tłusty! aj, aj, aj, aż kapalo
A do tego wino stało,
W złotej flaszcze; ja za stołem
A służący stoją kołem

ANTOS:

To Bałtruczuk, ty był król!
A zgrabny, jak słomy kul!

JAS:

Sliczny z niego byłby Pan!

JÓZIUK:

Lepszy tobie prosty stan!

BALTRUK:

Cóż ja gorszy?! mało czego,
Panem mogę być dlatego!
Złota, srebra miałby wiele!

JAS:

Codzień jadł pieczone cielę!

BALTRUK:

W aksamicie sobie chodził...

ANTOS:

Gęby nie mył, w puchu brodził...

BALTRUK:

A wszyscy by mnie się bali,
Kłaniali się i słuchali!

ANTOS:

Patrzcie na tego bałwana,
Co tak chce udawać pana,
Jak my jesteśmy pastuchy,
To i będziem, żadne duchy
Pieniądze nam nie przyniosą!
Zawsze będziem chodzić boso,
Po mokroci, żwirze, śniegu,
Bez jedzenia, bez noclegu,
Szukać służby, żebrać chleba,
Nie uprosim nigdy nieba
Lepszej doli! Tfu do czarta,
Taka dola djabła warta!

JÓZIUK:

Cicho, ach, dzisiejszej nocy
Nie mów słowa o złej mocy!
Nie wymawiaj ty imienia,
Zgubicielu dusz... sumienia!

JAS:

Co ty? Często przecie żarty
Wyprawujęm, gramy w karty,
Klniemy, łykniem wódki czasem.
Ludzi straszam swym hałasem,
I to przecie nam uchodzi,
Od tego jesteśmy młodzi!

JÓZIUK:

Dziś nie wolno nic takiego!
Dziś nie może być nic złego!
Pamiętajcie we śnie głosy
Spiewające pod niebiosy?
Widzieliście jasność gwiazd?
Słyszeliście świegot z gniazd?
Patrzcie nasze ptaszki szare,
Takie, jak my, biedne, małe,
Pliszki, zięby, sroki, gile,
Wróble psotne, piszczą mile,
Trzepoczą się tak wesoło...
Coś się dzieje tutaj wkoło!
Dzisiaj w nocy jakieś dziwy
Będą. Jaki ja szczęśliwy,
Że to czuję, a wy nie!
Czy ja żyję w jakimś śnie?
Że mam duszę wniebowziętą,
Na ogromne jakieś święto?
Że tak w sercu moim tak gra?
Że coś serce moje zna?
Czy ja jestem głupiec mały,
Czy też czeka dziś świat cały?
Czy ja myślę się, czy wy?
Co tu prawda, a co sny?

STARY PASTERZ:

Mój ty boży pastuszczyku,
Miły, rzewny ty ptaszeczyku,
Dobrze czuje serce twoje,
Wszystko ludzkie niepokoję.
Kochasz ptaki i zwierzęta,
A błękitne twe oczęta,
Patrzą w ludzi tak serdecznie,
Że pamiętać trzeba wiecznie,
Wzrok ten jasny, prawy, czysty,
Bo w nim dowód oczywisty,
Duszy dobrej milej Bogu.

Ej, chłopcy, dziś w stajni progu,
Nie jedno dziwo ujrzycie,
Dziś się nowe zacznie życie!
Dobrze Józiuk przepowiada,
Dzisiaj taka noc przypada,
Że się rodzi nam Zbawiciel,
Syn Boży, dusz Odkupiciel!
Dawno wieść o nim do ludu,
Nieśli prorocy, lecz cudu,
Nie dojrzało grzeszne oko,
Ale w to wierzym głęboko,
Że będzie to król w stajence,
Że w zgrzebnej leżąc sukience,
Przywoła do się pastuszki,
Wszystkie małe, korne duszki,
Przyjmie potem królów świata.
Ujdzie srogiej ręki kata,
Cuda sprawi, ludzi zbawi,
A oni Go zato, krwawi,
Umęcząc będą przez wieki,
Za dane zbawienia leki.

JÓZIUK:

Dziadziu! Prawda to? Ty przecie,
Wiek już żyjesz na tym świecie,
To i słuchać ciebie trzeba,
Bo znasz tajnie ziemi, nieba!

ANTOS:

Bajki babom, głupim radość.
Wszystek świat to jedna «hadość».

BALTRUK:

A ja, żeby raz dobrze zjad,
Niechby sobie był i had!
Napakujesz dobrze brzuch
No i życie słodkie, uch!

JAS:

A ot, patrzcie, patrzcie tam!
Widzisz dziwy!
(Popychają się.)

JÓZIUK:

Pokaż nam!
Coś się rusza, idzie, płynie,
Jacyś ludzie w tej krainie,

ANTOS:

Jakieś mary, jakieś czary!
Jedne jasne, inne kraśne...

JÓZIUK:

Patrz na niebo, gwiazda duża
Jakby oko lśniące zmruża.
I promienie szle, het, tam!
Tam, do szopy starej bram!

PASTUSZKI (wszyscy razem popychając się):

Puście patrzeć, wołaj, pytaj!
Przechodzących za płaszcz chwytaj!
Co to znaczy? Co się dzieje?
Jaka jasność! Czy już dnieje?
Ktoś tam idzie, hej chłopczyki!
Do nas! Do nas wędrowniki!
Mówcie, kto tam drogą leci?
Co tam błyszczy się i świeci?

(Aniołowie nadchodzą z głębi, powoli, trzymając się za ręce.)

ANIOŁ I-szy:

Co wy tu robicie, ludzie,
Nie śpicie po ciężkim trudzie?

JAS:

Ach, ubodzy my pasterze,
Każdy z nas baranków strzeże!

ANIOŁ-II-gi:

Czemu smutno spoglądacie,
I nisko głowy spuszczacie?

ANTOS:

Smutna dola nasza marna,
Jak ta nocka głucha, czarna,
Bo źli ludzie tryumfują,
I praw boskich nie szanują,
W bliźnim już nie znajdziesz brata,
Lecz srogiego w złości kata!
Każdy krzywdzi, kradnie, pije,
I silniejszy słabszych bije.

BALTRUK:

To i brzydnie nam już życie,
Bo trosk daje zbyt obficie.

JÓZIUK:

Mówili nam nieraz przecie,
Że przyjść musi takie dziecię,
Co świat zbawi mocą swoją.
Ale źli broją i broją
A coś nie widać ratunku,
Ludzie płaczą od frasunku!

ANIOŁ-I-szy:

Nie płaczcie, nie lamentujcie,
Lecz serca przygotowujcie,
Na wielkie szczęście i radość!
Bo prośbom stało się zadość.
Urodził się CHRYSZTUS w stajence.
Syn Przenajświętszej Paniency!
W Betlejem, pobliskiem mieście,
Chcecie go ujrzyć, to śpieszcie!
(Pasterze podchodzą do aniołów zdumieni.)

ANTUK:

Któż wy jesteście panowie,
Takiego szczęścia družbowie?

JAS:

Czemu szaty wasze białe?

JÓZIUK:

Czemu w świetle twarze całe?

ANIOŁ II-gi:

Jesteśmy z nieba anieli,
Co zawsze chodzimy w bieli,
Chwałę Bogu wyśpiewujem,
Dusz ludzkich ciągle pilnujem.
Dziś jest noc nad wszystkie święta;
Panna bez zmyty poczęta
Urodziła Zbawiciela,
Wszystkich dusz Odkupiciela!

PASTERZE (razem):

Co za szczęście! Czy być może?
Ach, dzięki Ci, wielki Boże!

ANIOŁ I-szy:

Biegnijcie wielcy i mali!
Patrzcie, niebo tam się pali!
Wszyscy razem pośpieszajcie,
Jezusowi pokłon dajcie!

PASTERZE (razem):

Idźmy skłonić się Dzieciątku,
Do stóp boskiemu Paniątku!
Glorja, glorja i Hosanna
Maryja, Najświętsza Panna!

(Pasterze wychodzą, prowadzeni przez Aniołów, śpiewając « Bracia, patrzcie jeno, jak niebo goreje », albo « Pójdźmy wszyscy do stajenki ». Kurtyna. Dziad wysuwa się naprzód scena z boku przed kurtyną.)

ZAKRYSTJAN:

A tutaj polskim zwyczajem,
Starodawnym obyczajem
Pokaże się cała szopa,
Zobaczycie króla chłopa,
Dziada, babę i żołnierza,
I świętego Kazimierza.
Szewca, misia kłapoucha.
Niechaj każdy pilnie słucha
Jak te wszystkie figuranty
Dawno znane, sprawią « kanty »:
Do Betlejem dążąc żwawo,
A za niemi dziad kulawo...
Pomalutku pokuszyka
Od kamyka, do kamyka...
Co wyżebrze, w sakwy włoży,
Bo dziad także sługa Boży...
I nie zawsze był żebrakiem,
W ten odzieniu ladajskim.
W Wilnie u Świętego Jana,
Służyłem za zakrystjana...
Dawne czasy, dawne dzieje,
Różne widział koleje:
I cesarza Napoljona,
Od tej chwili, moi mili,
Dziad dziękczynne modły wznosi
I o grosik tylko prosi,
A teraz się już wynosi,
Bo tak gadał, gadał...

(Dziad kieruje się ku wyjściu, a pośród publiczności wypycha się Józefuoweczką.)

JÓZEFUOWECZKA:

Czeka., czekaj milińki, nie gorońcuj się! Bezemnie tu nie obejdzie się! Kiedy chłó i zasnoł, to nia bojs, podniosą ja jego... Gadał żesz waspan, gadał, kilka groszy wsiuo, do kieszenia i idzie kulantny. Ajjejjej, isz jaki ważny! Dziad z pod świętego Jana nazywa si. A moja ciuocia nieboszczyca, przychodzi się szwagierko organistego z Katedry nu dek powiedz sam, chtëraż familja będzi ważniejsza, a?

Ach! i żesz najważniejsza sprawa! Panu Jezusowi pokłonić się przybiegła... Pastuchi kalekie ido, aniołki latajo jak podsmalone, króle słysze nadchodzo, to musi i parada będzie na Katydralnym tfu! Cóż ja gadam na Betlejskim placu. Może jakiego ministra obacze, to już nia wytrzymam zaskomla: « Zmiłuj się panoczek, odpuść kilka podatków, a to i na kucja nia chwyci. » Ale gdzie mnie dopuszczą!

Nadewszy się stano kole Pana Jezusa i prostego narodu nie dopuszczą. Żeb ani na rojsty! Ale czekaj, czekaj, kiedy Józefuowa da się w ta pora ob stajenka, to niechaj sobie i ściana rozwali, a nożki Pana Jezusa zameliduje... I czegoż Kum stoisz rozdziawwszy się? Mowy wilńskiej nia słyszał, ci co? (daje mu w kark) Walaj Kum do stajenki, walaj!

Kurtyna.

KUKŁY

Odłona II-ga

HEROD:

Mam firmamenty z gwiazdami
Pod swojemi nogami,
I cztery części świata,
A strach mnie oblata,
Bo słyszałem, że ma się narodzić w Betlejem
Co będzie królować zamiast mego syna! (dziecina)

MARSZAŁEK:

Słyszałem również wieść takową,
Przyjdzie tu nam nadłożyć głowę!

HEROD:

Ruszaj, marszałku, każ wycinać dziatki
Niechaj w Betlejem wszystkie płaczą matki.

MARSZAŁEK:

Spełnię, rozkazy tve, srogi panie,
Wnet się na świecie ta zbrodnia stanie.
(*Wychodzi*)

HEROD:

O, cóż ja pocznę Herod z frasunku!
Chodź djable kumie, do poratunku!

DJABEL (*wpada z widłami*):

Masz, masz ratunek, na moje widły
Nawłokę ciebie, królu przebrzydły!

HEROD:

Ach, idź odemnie ty piekielniku,
Pocóż wołałem cię paskudniku!

DJABEL:

Bie będziesz więcej siedział na tronie,
Powieszę ciebie na mym ogonie.
(*Śmierć z kosą, włazi.*)

ŚMIERĆ:

Wchodzę w tve progi, marny potentacie.
Niewinnych mordujecie, potem uciekacie.

HEROD:

Stój, damo koścista, uspokój swe złości,
Zabierz purpurę, okryj swe kości,
Ale nie ścinaj króla jegomości!

ŚMIERĆ:

Boisz się teraz mocarzu wyroku
Kiedy śmierć u twego boku.
Już się spełniły tve losy.
Dawaj głowy dla mej kosy!
Djabłu dusza, a mnie ciało,
Tak się Bogu spodobało.
(*Djabł wrzeszczy, oboje ciągną Heroda.*)

HEROD:

Litości, litości, świetne osoby!
Pozalujcie mej królewskiej ozdoby!

DJABEL I ŚMIERĆ:

Na nic królu twoje krzyki,
Muszą zginąć okrutniki!
(*Wywlekają go precz z wraskiem. — Wpadają
Krakowiaki, jedna czy dwie pary.*)

KRAKOWIAKI:

Krakowiaki my z Krakowa,
Do wipitki do panienki,
I dopóki Wisła płynie,
Sława nasza nie zaginie!

GÓRAL:

Wy góry śnieżyste,
Strażnice wieczyste,
To mój, górą świat cały:
Te percie, źleby i skały.
I najpiękniejsza, jedyna.
Ta Kościeliska dolina.
Z ciupugą gdy lecę przez turnie,
Na hale spoglądam tak górnice,
Jak orzeł albo kozica.
Tam się me oko zachwyca
I bujam wolno, jak ptaszę!

MAZUR I MAZURKA:

Mazur czy ja Mazur, szumno bogaty!
Swico się na mnie prześlicznie szaty:
I koszula dreliszkowa
Nakształt niby muślinowa, da, dana!
Mam ci ja buty, z juchtowej skóry,
Pozadzirały nosy do góry,
Na obcasach, na wysokich,

Na podkówkach, na sztyrkach... da, dana
Mam ci ja żupan, ale od święta,
Co mój dziad, pradziad pasał cięłeta,
I pasiczek z kłosiczkami,
Jak to między Mazurami! da, dana!
A ja se jestem, — pikna Mazurka,
Aż z pod Warszawy, czubata, kurka,
Wielniak w paski kolorowe,
Chodzę sobie jak królowe,
Jestem lekko do taneczka,
Pójdź-że ze mną mazureczka!
(tańczą)

KUBA I JEGO LUBA

Tańcował Kuba i jego luba,
Tak wywijali, u, ha, ha!
Kuba niebogi, miał krzywe nogi,
A Kaśka była głucha!
Ślicznie dobrana para
Dziad kulawy, ona stara.
Raz mówi Kuba, ach Kasko luba,
Pobierzem my się w zapusty!
Ja mam kociaka, a ty prosiaka,
Nie będzie dom nasz pusty!
Ślicznie dobrana będzie para
Ja pan młody, ty niestara.
Tak się kochali, że się pobrali
Tak się kochali zawzięcie!
On ją obijał co dnia w tygodniu,
A ona jego przy świetle!
Śliczna z nich, prawda, była para
Stary pijak i maskara!!!

POLESZUK:

U siasiada kucję tłuką
Kuć, kuć, kucijeczko,
Zawieszona wrota krajką,
Krasną kitajeczką.
Siądę sobie na ławeczce,
W siwej kamzelecze,
Naszczepię luczywki,
Zaganą mnie dziwki;
A czy łowił ty nam ryby,
Plotki czy wjuników?
A czy widział ty przez szyby
Naszych kołędników?

(ciągnie kozę na sznurze)

Aoton kozę wiedzie
Tyc, myc, nie idzie.
Ho, ho, koza stara.
Gdzie koza rogiem,

Tam żyto stogiem,
Gdzie koza tup, tup,
Tam żyta siedem kóp.
Puc, puc, koza padła (koza pada)
Zdechła i przepadła
Daj kąseczek sała
Żeby koza wstała,
I daj jej na różki
Dwa tłuste pierożki,
A na ogoneczek, sera kawałeczek.
A ty kozo, nie uporcz się,
Wszystkim państwu pokłoń się!
Ho, ho, ho, koza
Ho, ho, ho, koza
Ho, ho, ho, koza
Ho, ho, ho, szara...

LITWINKA:

Wianek rutu płynie.
Dziewczyna łzami
Codzień go skrapiała,
Płacząc dziś wieniec
Wstęgę zaplatała.
W Niemen głęboki
Żale utoną w czystej rzeki fali
I Bóg nam przyszłość lepszą wskaże w dali.

Odsłona III-cia

(Nadchodzą powoli trzej królowie. 3 Anioły stoją na skalach.)

KRÓL I-szy:

Z trzech my dalekich krajów idziemy,
Gdzie nam iść trzeba, dobrze to wiemy;
Bo lśniaca gwiazda drogę wskazuje,
Po niebie naprzód ciągle wędruje.
Jesteśmy mędrcy, bardzo już starzy,
Nauka młodość starła nam z twarzy.
A my wciąż gwiazdy tej jasnej służy,
Idziemi za nią, czas bardzo długi...

KRÓL II-gi:

Gdzieżeśmy zaszli, my, trzej królowie?
Wszak państw korony mamy na głowie,
Pełno klejnotów, skarbów miliony,
Złotem, perłami sadzone trony!
A myśmy wszystko to zostawili,
W wędrowce stopyśmy pokrwawili,
Bo nas tak ciągle gnała tęsknota,
Bo nas ta gwiazda prowadzi złota!
Patrzcie! stanęła, i ciemność sroga!
Czy do Betlejem nie tędy droga?

ANIOŁ I-szy:

Już wiosieczka niedaleka,
A czy kto tam na was czeka?

KRÓL III-ci:

Tam Pan nad Pany i Król nad Króle!
On wszystkie ludzkie ogarnie bóle!
On serce swoje odda na męki,
On nie odsunie od grzesznych ręki.
Przed nim kolana zgina i pada,
Ślicznych aniołów jasna gromada,
Przed nim piekielne zadrzą podwoje,
A śmierć i życie znajdą ostoję!
My Jemu niesiem te złote dary,
Z kadzidła, z mirry, wonne ofiary.

KRÓL I-szy:

W jakim pałacu, czy też nie wiecie?
Spoczywa owo królewskie dziecię?
Pewnie jest w złocie i srebrze całe,
A szaty na niem piękne, wspaniałe?

ANIOŁ II-gi:

Nie, w ubogiej On stajence,
Na twardej leży słomience,
By pokory uczyć ludzi,
W niewygodach sam się trudzi,
Wół i osioł nań chuchają,
Aniolkowie Go lulają,
Święty Józef go pilnuje,
A Maryja przyśpiewuje:
Synaczkowi,
Jezusowi,
Maleńkiemu,
Zrodzonemu.

KRÓL II-gi:

Więc śpieszmy dalej nim noc przeminie,
Herod też pokłon złoży Dziecinie.

ANIOŁ III-ci:

Herod chciał zabić Nowozrodzonego
Lecz gdy miecz jego nie mógł Boga sięgnąć,
Niewiniątek rzeź srogą nakazał:
Własnego syna nie szczędził, i łzami matek zalał Judeę.
Lecz dzieci mordem srogim zgładzone,
Już u źłóbeczka Bożego Syna, jako Maryi dzieciątka,
Anielskie służby swe czynią chyżo,
I nie doznawszy bólu życia, w wiecznej radości, jako ptaszęta,
Skrzydłkami niebożęta trzepoczą, chichoczą, niepomne śmierci okrutnej,
Na gęślikach przygrywiają i wdzięcznie śpiewają Jezuskowi.

KRÓL III-ci:

Idźmyż oglądać te wielkie dziwy,
Spieszmy do groty gdzie Bóg prawdziwy...

(Wchodzą trzymając się za ręce pastuszkowie, za nimi stary pasterz.)

PASTUSZKI:

W stajence zrodzony, w żłobie położony, Jezus nasz! Jezus nasz!
Do pastuszków rączką kiwa i do siebie nas przyzywa. Pasterz trzód! Pasterz trzód!
On nam błogosławi, i patrzy łaskawie, Na swój lud! Na swój lud!
Bo my pierwsi przybieżeli, i cześć Jemu oddać chcieli, On nasz Król! On nasz Król!
Co z chaty zabrali, To Bogu oddali, Ochotnie! Ochotnie!
Na fujarkach grali, przed Dzieciątkiem tańcowali, Z radości! Z radości!
Mędrcy przybywają, zdala pośpieszają, Złożyć hold! Złożyć hold!
Ale nad korony złote, więcej kocha Jezus cnotę, Prostych serc! Prostych serc!
(Śpiewając zbliżyli się pastuszkowie i spostrzegli królów.)

BALTRUK:

Patrz jakie ważne państwo,
Ci nie zechco brać w poddaństwo,
Stojo jakieści nadęte,
Ci cywilne to, ci święte ?
A zlotne na ich odzienie !
Aż w oczach robio zaćmienie...

ANTOS:

To muszą być króle świata,
Patrzaj jaki blask oblata
Ich korony płaszcz, lica...

JÓZIUK:

Mnie olśniła błyskawica
Tam w stajence, boskich oczu,
Co z Dzieciątka — Niewiniątka
Twarzy, patrzą tak uroczo.
Tak mnie skuły, zniewoliły,
Że i odejść nie mam siły,
I zostanę Mu na służbie,
Całe życie z Bogiem w druźbie.

JAS:

Lecz spytajmy z jakich krajów
Idą, jakich obyczajów
Niosą prawa ? Czy życzliwi
Jezusowi ? czy szczęśliwi
Swem bogactwem ? Czy nie wojny
Idą szukać ? My spokojny
Naród, chcemy z ludźmi zgody,
Ale nich nam tu do szkody
Nikt nie lezie ! Nawet króle !
Bo poczują srogie bóle
Jak my zamłócim pięściami.

BALTRUK:

Ja by do jego kieszeni
Popatrzył u tego króla...
Ot dobrze jemu... w dzień hula,
Je co zechce, pije wino,
Pieniądz jak rzeko płyno,
W nocy chrapie na atlasie,
A co milionów ma w kasie !...

ANTOŚ:

Żeb któremu ta korona
Schwycić i uciec na strona...

JÓZIUK:

Czy myślicie że blask złota
To szczęście, zdrowie i cnota ?
Nie waż się wyciągnąć ręki
Do tego coś nie kupił z męki...

KRÓL I:

Cóż tam stoicie młode pacholki ?
Już zorza złoci gajów wierzchołki
I nasza gwiazda wspanialej pała,
A że nad grota w biegu ustała,
I że tu jasne widzimy duchy,
Więc nabieramy w serce otuchy
Że mądrość nasza dobrze nas wiodła
I że się tutaj należy z siodła.
Pilno nam kresu dobrnąć podróży.
Wyście tam byli ? Wyście tam pierwsi ?
Czyżbyście byli w modlitwie szczeri ?

KRÓL II:

Nie stójcie ludzie na naszej drodze !
Wy pewnie drżycie w pokornej trwodze,
I nasz majestat tak was oniemia !
O, bo nas prawie zna cała ziemia !
Lecz my nad wszelkie świata królestwo
Wynosim ze czcią Boga jestestwo.

KRÓL III:

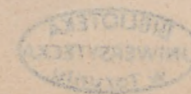
Zuchwałe chłopcy, na twarz przed nami.
Jesteśmy króle, zwani mędrkami,
Idziemi Bogu hołd złożyć kornie,
Lecz wy przed nami skłońcie się dwornie,
Bo chociaż pono tam jest król świata,
Nikt królem ziemi też nie pomiata.
A nasze włości są niezmierzone
I nasze ludy są niezliczone,
I nasza mądrość niema granicy,
I każdy skarby ma w swej stolicy.

JÓZIUK:

Kto oglądał Boga swego.
Temu króle nic ważnego !

JAS:

Kto sobaczył Dzieciąteczko,
Cóż mu król choć z koroneczką.



STARY PASTERZ (*wychodzi naprzód*):

O mędrcy świata! Monarchowie! Władcy rozległych ziem i mórz!
Zwólcie niech stary słowo powie. Jam tylko prosty trzody stróż,
Lecz czasem widzę co ukryte, czasami wrota czasu bram,
Roztworzą mi się i rozkwita cały przyszłości groźny chram,
Co stutusieczne ma obrazy i miliardowych zdarzeń krąg.
I wierzcie mi, że wśród rozkoszy, więcej tam widzę mąk ludzkich...
I widzę jak się walą trony, i jak nędzarzem bywa król.
I jak u Boga jedno znaczy: jego czy też żebraka ból.
O trzej Królowie! Państwem czarta wyda się nieraz biedny świat,
Gdy nad nim sroży się rozżarta czereda grzechów zbyta krat...
I tylko jedno jest zbawienie, to jedno niechaj w myślach trwa:
Że tylko byt w Chrystusa cieniu ochronić może nas od zła.

ANIOL:

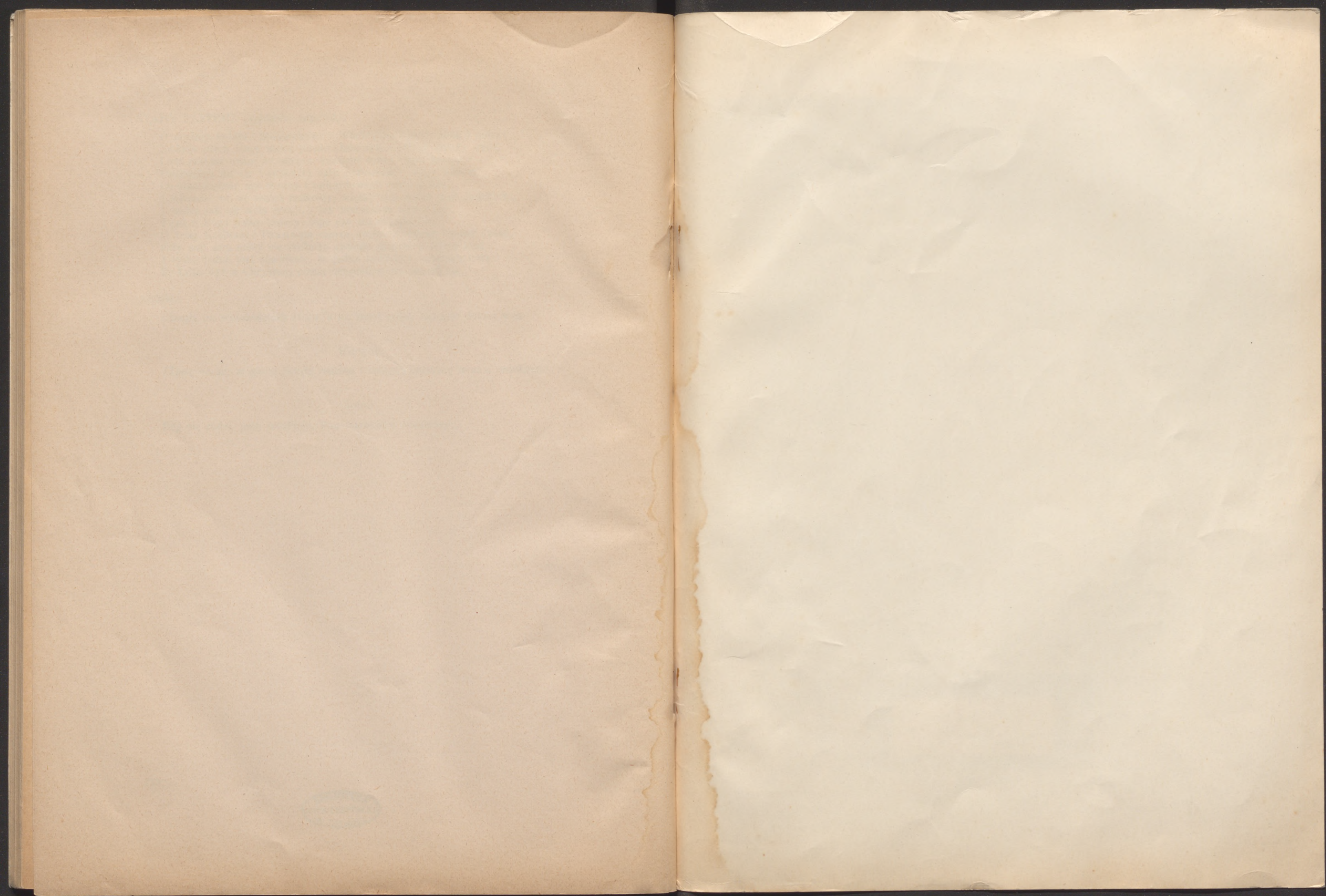
Chwała na wysokościach Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli.

Kurtyna

(*Żywy obraz: w grocie Święta rodzina i wszyscy uczestnicy wraz a aniołami.*)

Śpiew.

Bóg się rodzi, moc truchleje, Pan Niebiosów obnażony...



Arch. Emigracji
Biblioteka

Główna
UMK Toruń

1392835



Biblioteka Główna UMK



300020981881